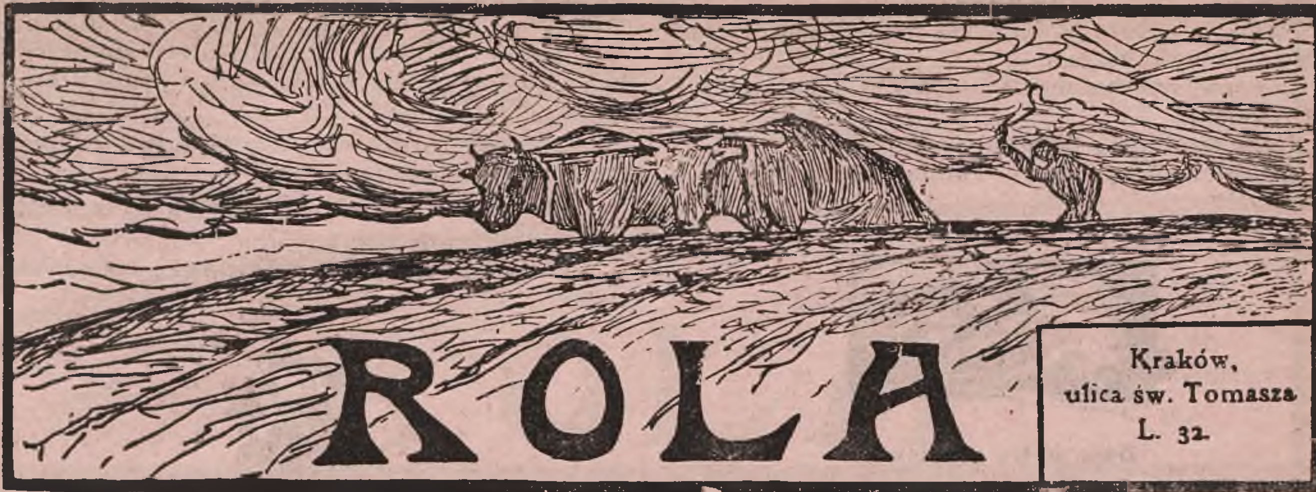
Numer 8. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 24 Lutego 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy. Prosimy o wyraźne pisanie adresów i poczty.

Dwa napisy.

Napis w pokoju hotelowym w pewnem małem mieście amerykańskiem:

„Palenie wzbronione! Pamiętajcie o pożarze hotelu Astoria!“

Jakiś dowcipniś podpisał pod tem:

„Nie pluć na podłogę! Pamiętajcie o wylewach Missisippi!“



Dwa metry różnicy.

Pan Piernikiewicz cierpiał na żołądek. Udaje się więc do znajomego aptekarza Pigulińskiego, w śródmieściu, prosząc o porcję rycyny. Piguliński wręcza mu sporą flaszeczkę, której zawartość pacjent usiłuje wypić. Widząc to aptekarz, wyrywa mu ją z ręki i krzyczy: — Nie wypijaj, to ryzykowne. A gdzie pan właściwie mieszka?

I tu wywiązuje się między nimi następujący djalog.

Pacjent: Mieszkam na Pradze, o dwa kilometry.

Aptekarz: — Ach tak, w takim razie dałem panu za dużą dozę na taką odległość — i odlewa trochę. — A jak się pan do tego domu dostaje? — pyta dalej.

Pacjent: — Jadę tramwajem.

Aptekarz: — To co innego. Mogę trochę dolać. A na którem piętrze pan mieszka?

Pacjent: — Na piątem.

Aptekarz: — O to komplikacja. (Długo oblicza, poczem znowu odlewa trochę płynu.) A czy jest winda?

Pacjent: — Oczywiście.

Aptekarz: — W takim razie... — tu robi nowy rachunek — mogę odrobinę dolać. Po zadaniu następnych pytań w sprawie rozkładu mieszkania i jego wygód i odpowiedniem zwiększaniu i zmniejszaniu dozy, oświadcza:

— Proszę bardzo, oto doza akurat do wypicia tutaj, dokładnie obliczona.

Nazajutrz Piernikiewicz spotyka Pigulińskiego:

— Obliczenie było genjalne — mówi.

— Omylił się pan o drobnostkę, zaledwie dwa metry...



Pomoże, nie pomoże.

— Izydor, weź temu lekarstwu, to będziesz wnet ganc gesund.

— Co ty potrzebujesz mówić, tego lekarstwu i tak mi nic nie pomoże.

— A ja ci mówię, że dam sobie powiesić na gałęziu, jeśli tobie nie pomoże.

— Nu... to daj prędko!



Srebrne wesele.

— Wiesz, mamusiu, że w tym miesiącu wypada 25-ta rocznica naszego ślubu.

— A więc zaczekajmy jeszcze pięć lat i będziemy mogli odrazu obchodzić rocznicę „30-letniej wojny“.

Numer 8. Rok XII. Kraków, dnia 24 Lutego 1929

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara ocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Charakter.

Ojczyzna nasza utrwala na nowo swój byt niepodległy, swoją potęgę. Na każdem polu widać chwalebne wysiłki, owocną pracę, pośpiech niezwykły, by dopędzić w rozwoju oświaty i kultury inne szczęśliwsze od nas narody, które nie zaznały przekleństwa niewoli. Zrobiono wiele, lecz dużo jeszcze pozostało do uskutecznienia.

Najważniejszą jednakże sprawą w życiu rodzinnem i społecznem jest praca nad wyrobieniem charakteru, tak jednostek, jak i charakteru narodowego. Dawne bowiem wady narodowe, jak gadulstwo i ślamazarność, przesadna indywidualność, duma i zarozumiałość sieją nadal niezgodę, utrudniają lub często nawet uniemożliwiają zgodną współpracę, czyto w rodzinach, czyto społeczeństwie naszem, czy w sejmie. Bez harmonijnej zgody i współpracy, bez charakterów, ani rodzina, ani naród nie może być silnym i szczęśliwym.

Nie wyleczyliśmy się też nadal z przesadnej uczuciowości, z usposobienia łatwo zapalnego, lecz krótkotrwałego, z tej beztroski o przyszłość, która często nadal każe nam powtarzać „jakoś to będzie", zamiast zgodą, energiczną współpracą i rozumną oszczędnością wykuwać lepszy byt swych rodzin, państwa, jaśniejszą przyszłość dla potomstwa. Do wad dawniejszych przyłączyła się obecnie wada i choroba nerwowości, zniecierpliwienia, małostkowości, która w błahostkach widzi tragedje życiowe, która niejednokrotnie życie rodzinne i społeczne czyni bardzo przykrem, a może najbardziej samym nerwowym dokucza i szkodzi. Kto chce pracować nad swoim charakterem, musi wady swe poznać, by je następnie swą silną wolą pokonać, a cnoty potrzebne wyrobić, inaczej bowiem pozostanie zawsze igraszką losu, zabawką innych, silniejszych ludzi.

Charakterem nazywamy stale utrzymany kierunek woli naszej w działaniu, w życiu. Probierzem zaś charakteru są czyny danego człowieka. Na czyny i charakter można wpływać wydatnie wychowaniem i pracą nad sobą. Lecz praca nad charakterem jest często ciężka, jak każdy wie z własnego doświadczenia, jest ona jednak konieczną, a następstwa jej cenne i radosne.

Każdy człowiek ma jakoby dwóch doradców, starających się usilnie pozyskać go dla siebie. Jeden z nich stara się nas podnosić moralnie, uszlachetniać, kierować naszą uwagę na cele wzniosłe, na ideały, ku którem całe życie dążyć mamy. Drugi zaś doradca stara się osłabić wolę ludzką, zbrukać serce, przykuć człowieka do pragnień nikczemnych, do błota występków, uciech zwodniczych, by prędzej, czy później pozostawić mu w darze głęboki smutek i rozczarowanie. Kto stale idzie za dobrym doradcą, kto pracuje nad charakterem swoim, czy osób jemu powierzonych, ten pracuje nad prawdziwem szczęściem swej rodziny, Ojczyzny, ten Ją kocha prawdziwie.

Stale utrzymana wola silna, hartowna i sumienie czyste, to skarby tak wielkie, że dla ich zdobycia i zachowania wszystkie swoje siły poświęcać warto. Jak przed dziesięciu laty pękły kajdany niewoli krępujące nasz Naród, tak teraz musimy podjąć usilną pracę nad naszym charakterem, by pękły krępujące nas jeszcze kajdany naszych wad i by zajaśniała dla nas pogodna przyszłość.

Do pracy nad samym sobą trzeba się zabrać jak najrychlej, a nie odkładać jej na czas późniejszy, bo każdy dzień, każda godzina jest tu drogą, a może ona minąć bezpowrotnie.

Jan Pelczar.

JÓZEF DZIERZKOWSKI.

Król Dziadów.

Powieść obyczajowa.

1. Kłopoty pieniężne.

Na podgórzu ciągnącem się od Stryja popod Karpaty, znajdowała się piękna dolina. Na tej dolinie, w bliskości większych już pagórków, leżała wielka wieś zwana Wyżyńce.

Wyżyńce leżały na płaszczyźnie jeszcze; jeden tylko pagórek, jakby wysłannik tych gór dalszych, wznosił się nagle. Był to pamiątkowy pagórek, bo na nim leżały ruiny ongiś pięknego zamku Wyżyńskich.

Obecnie właścicielem Wyżyniec, był graf Ignacy Wyżyński, który zamieszkiwał niewielki pałacyk wraz z żoną Zofją, synem Eugenjuszem i bratem Stanisławem.

Położenie majątkowe grafa Wyżyńskiego, było w ostatnich czasach bardzo przykre, to też dzięki tylko zabiegom i pracy starszego brata Stanisława, udało się jeszcze wieś zatrzymać.

Graf Ignacy Wyżyński, był człowiekiem dumnym, nieprzystępnym a przytem lubił szerokie życie, dochody więc z tego majątku nie mogły na jego potrzeby wystarczać, dlatego zmuszony był zaciągać pożyczki u okolicznych żydów. I właśnie graf Ignacy oczekuje teraz z niecierpliwością na spodziewanego gościa. Widać po nim wielkie zdenerwowanie, znać, że jakaś bardzo wielka troska go gnębi.

Wreszcie doczekał się oczekiwanego gościa... Był to Srul Feigele, który był jedną z najznakomitszych figur w okolicy. Mieszkał w miasteczku Niżyńce, które niegdyś wraz z Wyżyńcami, stanowiły najpiękniejsze w całym kraju, perły majątkowe.

— A przecież! — zawołał graf Ignacy i stanął w skoku jak wryty, przed zimnym i szyderczym uśmiechem pana Srula.

— Nie miałem czasu! — odrzekł niedbale Srul. — Zatrzymał mnie pan prezes.

— Co, ten eks-burmistrz Wicewicz?

— Który jasnego pana nazywa eks-dziedzicem.

— Błazen!

— Ale ma grube pieniądze i pożycza...

— Pożycza! — zawołał graf zmienionym głosem.

— Ale tylko na bardzo pewne hipoteki...

— Może mówiłeś?...

— Mówiłem z nim!

— I jakże?

— Nie, nie będzie nic z tego...

— Nie będzie! — żałosnym zajęczał głosem pan Ignacy.

— Mówiłem już z innymi... nikt nie ma pieniędzy!

— Ale sam może...

— Ja! ja!... pan graf żartuje. Ja pana żałuję, ja na grafie niejedno zarobił, jabym chętnie grafowi dopomógł, ale mam u grafa sześć tysięcy z ostatniego kontraktu na wódkę, więc muszę najpierw swoje odebrać...

— Właśnie dlatego; znajdź kogo, by mi pożyczył dziesięć tysięcy, a odbierzesz swoje.

— Byłem już wszędzie, nawet byłem w Łypkowcach.

— U Glinieckiego?

— To także fein puryc! wielkie ma gluf.

— I robiłeś mu propozycje?

— Na wszystkiego boków.

— Odmówił!

— Odmówił!... Gliniecki! — zawołał graf z nieudanem przerażeniem. — Wszakże on zawsze taki dla mnie grzeczny, pełen oświadczeń, uniżonych ukłonów.

— To jeszcze z dawnej ekonomskiej natury pochodzi. Ale pieniędzy wun grafowi nie pożyczy. Wunby prędzej dał córkę młodemu grafowi.

— Wierzę! wierzę! — mruknął graf i wpatrzył się w żyda. — A wiele teżby dał posagu?

— Za życio nic!... po śmierci...

— Pal djabli!... po śmierci; on młodszy ode mnie!...

— Zresztą pomyślę o tem... ale tu dziś ratować się muszę. Słuchaj, panie Srulu!... znasz położenie moje.

— Oj znam i dobrze znam, — wyrzekł Srul z pogardliwym uśmiechem.

— Ja nie mam grosza w domu... a przecież muszę żyć na odpowiedniej stopie, bo jestem grafem...

— Ja Srul Feigele, a żyję przecie skromnie.

— Ty tego, mój Srulu nie rozumiesz! — przerwał graf, tłumiąc niecierpliwość.

— Ja to rozumiem... Co to już dziś wszystko pomoże. Świat się zmienił, czas dla Wyżyńskich już przeszedł, teraz się zaczął dla Feigelesów...

— A żebym ja co sprzedał?...

— Co? — zapytał żyd z komicznem zadziwieniem.

— Gdybyś przecie chciał pomóc, kochany panie Srulu...

— Nu, ja jegomości szczerze powiem, z tego nic nie będzie; jest tylko jeden ratunek a mianowicie, aby pożyczyć u króla dziadów w Hoszowie...

— Co u króla dziadów? — skoczył graf oburzony, jak śmiesz podobną propozycję mi robić!

Żyd, widząc takie oburzenie na twarzy grafa, cofnął się ku drzwiom przestraszony, lecz jeszcze zapytał, — graf go zna?

— Ja, jego? — mówił pan Ignacy coraz głośniej i przyskoczył do żyda z iskrzącemi oczyma...

Żyd jednak zapytał, co grafa obchodzi tak bardzo król dziadów.

— Mnie?!... krzyknął pan Ignacy i podniósł rękę ruchem namiętnym.

I kto wie coby się stało. Lecz w tej chwili otwarły się drzwi salonu. Obaj mówiący spojrzeli ku nim i zobaczyli wchodzącego wysokiego mężczyznę.

— Pan major! — przemówił żyd i skrzywił się niepospolicie, bo jednego majora bał się i szanował nadzwyczajnie.

— Mój brat! mruknął do siebie pan Ignacy i opanował swój gniew natychmiast. — Nic to, nic?... mój panie Srulu!... ja nie jestem zdrów zupełnie. Ta propozycja oburzyła mnie nieco; gdzieżbym ja mógł wchodzić, w stosunki z...

— Ta, że to przecie król... — odrzekł szyderczo żydek.

— Bądź teraz zdrów, panie Feigele...

— Żegnam pana grafa — rzekł wychodząc.

Pan Ignacy, drżący jeszcze, poszedł ku drzwiom szklanym, by powitać czekającego w salonie brata.

2. Narada rodzinna.

Pan Stanisław Wyżyński, był prawdziwym typem dzielnego wojownika polskiego, jakiego dziś rzadko gdzie spotkać, był on prawdziwym szlachcicem, nieprzyjaciel wszelkiej podłości, gotów do wszelkich poświęceń.

Gdy wszedł pan Ignacy do salonu, major Stanisław powitał go głosem pełnym i dźwięcznym.

— Dzień dobry kochanemu majorowi — odrzekł graf Ignacy.

— Że też, panie Ignacy, nie możesz się obejść bez tego szachraja żyda.

— A że też pan brat, taką ma do Srula antypatje, — odrzekł pan Ignacy uśmiechając się wymuszenie.

— Tam do krocset!... Mamże lubić tego łotra, który cię obdziera?

— Trudno bardzo, by mnie mógł obedrzeć.

— Chyba dlatego, że cię już do naga obdarł, ale pewnie cię namawiał, na nowe jakieś szachrajstwo?

— Szachrajstwo!... nowe!... pan major dziś jest w złym humorze.

— Lepiej, żeby pan brat dbał o swój honor a nie o mój humor. Szachrujecie z tym psem niewiernym i okpiwacie, kogo tylko złapać możecie na pożyczki i kupna, pożyczki bez nadzieji oddania, kupna zaś bez towarów.

— Zdaje mi się przecie, że mi wolno w moim majątku własnym...

— Własnym!... — krzyknął major głosem grzmiącym. Własnym! — Krótką masz pamięć, panie Ignacy. — Nie rachowałem się z tobą, i wiesz najlepiej, że grosza ojcowizny nie odebrałem od ciebie.

— Okoliczności!...

— Okoliczności, to wymówka dla głupców i dla łotrów. Nie odebrałem, bo mi się tak podobało, bo mnie staremu żołnierzowi, nie wiele potrzeba, a ty... ty chciałeś się żenić wówczas. I gdy wziąłeś tego aniołka... co się twoją żoną nazywa...

— A już to moja Zosia...

— Jest anioł i kwita. Powiedziałem ci wówczas, że nigdy nie odbiorę mojej połowy, byleby ona była szczęśliwa!... Tymczasem ty lekkomyślnie roztrwoniłeś majątek i trwonisz jeszcze resztki jego a ona biedna smutna, z trwogą patrzy na przyszłość jedynego syna Eugenjusza.

— Ależ nie jest tak źle! Jeszcze mam środki, mam nadzieje...

— Okpić, otumanić, — jak uczyniłeś to z biednym Goździkiewiczem.

— Ależ ten łotr mnie okradł!

— Milcz! jest w tem łotr, ale nie on; jest to twój zaufany Srul!

— Ależ...

— Zabrałeś Goździkiewiczowi chudobę i wygoniłeś z chaty, — uczyniłeś to, i śmiesz się zwać szlachcicem!

— Więc jaką radę daje pan brat, aby wybrnąć z tej ciężkiej sytuacji?

— Sprzedaj wszystko. Możemy jeszcze żyć skromnie, ale uczciwie...

— Gdzieś na bruku, jak jaki szlachetka!

Rozmowę ich przerwało wejście żony pana Ignacego Zofji.

Hrabina Zofja, była kobietą piękną o bardzo ujmującej powierzchowności i zawsze silne robiła wrażenie, mimowoli zostawając w pamięci. Płeć jej była biała i przeźroczysta, oczy jasne i włosy jasno blond. Cała jej postać robiła wrażenie nieziemskiej a tylko oczy i ich spojrzenia słodycz i rys smutku koło ust, świadczyła, że ta istota żyje i cierpi... Jako dziewczyna piętnastoletnia utraciła rodziców, którzy ją nad życie kochali i pieścili. Dostała za opiekuna dalekiego krewnego, który był człowiekiem uczciwym, lecz zimnego serca. Niewygodna była dla niego istota marzycielska, dlatego też starał się jak najprędzej wydać za mąż, aby pozbyć się opieki.

Zjawił się na jej drodze życia, graf Ignacy i jako niedoświadczona siedemnastoletnia dziewczyna, oddała mu rękę, sądząc, że znajdzie serce...

Tymczasem bardzo się zawiodła i jedyną radością w jej życiu był ukochany syn i szczerze życzliwy szwagier Stanisław.

Teraz gdy hrabina Zofja weszła, oczy szwagra zajaśniały radością, co nie uszło uwagi, grafa Ignacego, który również uśmiechnął się zimno do żony i zapytał czy przechadzała się po parku.

— Chwilę tylko, bo przyniesiono mi list...

— List? — zapytał mąż.

— List zapraszający nas na zabawę do mej krewnej Heleny Krajewskiej z okazji jej imienin.

Pan Ignacy nie chciał nawet słyszeć, o owej zabawie, uważając, że za niskie są tam dla nich progi, dopiero gorące wstawiennictwo majora, sprawiło, że graf Ignacy zgodził się pozwolić synowi pójść na ten bal.

Właśnie w tej chwili wszedł Eugenjusz i dowiedział się od rodziców, o mającej się odbyć zabawie. Powierzchowność Eugenjusza była uderzająca; prócz niezwyczajnej bowiem urody, twarz jego promieniała wyrazem dziwnej jakiejś szlachetności i wyższości. Wyższość tę spoczywającą na wysokiem czole, strzelającą z oczu, pełnych wewnętrznego ognia, każdy patrzący odrazu przyznać musiał.

Podobieństwo usposobienia zbliżone było do matki, lecz tylko pozornie. Oboje mieli popęd do życia idealnego, w obojga duszy mieszkała poezja; ale u matki poetyczność ta była cicha, słodka, gdy tymczasem u syna usposobienie poetyczne, burzą może krwi młodej spotęgowane, podniosło się do egzaltacji, do entuzjazmu, — parło go ku czynom jakiegoś życia niezwykłego. Najwięcej zajmowali się nim matka i stryj. Dla matki był nadzwyczaj czuły, uprzedzający, gotów nawet do wielkich dla niej poświęceń. Najwięcej może przywiązany był do stryja, który jeden mu imponował przebytem życiem wojennem, o którem major, jak każdy wiarus, rad opowiadał.

Po ukończeniu uniwersytetu, z skończonym kursem filozofji, wrócił Eugenjusz do rodzinnego domu. Duch jego poetyczny, był w wysokim stopniu rozwinięty, to też ciągle szukał ideału, dla którego wartoby życie poświęcić. Jaka ma być istota tego ideału, sam by zapewne nie umiał wytłumaczyć; gdyż zachował on nieskazitelną czystość i niewinność uczuć i myśli. Nigdy jeszcze nie kochał.

Od kilku dni jednak zaszła w nim dziwna jakaś odmiana. Nie mógł usiedzieć na miejscu; ciągle prawie na koniu galopował po obszernej płaszczyźnie, oczy jego były jeszcze ognistsze, a na ustach igrał uśmiech pełen dziwnego uroku, uśmiech natchnienia.

I w takiem usposobieniu był obecnie Eugenjusz; ojciec zwrócił się do niego z życzeniem, aby jadąc do p. Krajewskich na bal, wstąpił do Łypkowic do pana Glinieckiego...

Wówczas major z oburzeniem krzyknął, że zapewne to jest plan z góry obmyślany, gdyż ma on dwie córki mające po 100.000 posagu.

— A gdyby nawet i tak było, — odpowiedział pan Ignacy.

— Przypomniałbym panu bratu, skąd powstał Gliniecki.

— Otż macie wolnomyślnych, demokratów!... pięknie mówiąc, a sąsiadowi zarzucają ekonomskie pochodzenie.

— Ja mu zarzucam tylko podły sposób, jakim przyszedł do majątku.

I byłaby się wszczęła nowa utarczka słowna, gdyby nie interwencja pani Zofji, która chcąc zażegnać burzę, wyszła wraz z majorem i Eugenjuszem do ogrodu.

Eugenjusz zaraz dosiadł konia i pomknął pędem po zielonej błoni. Śliczny był ranek, dusza młodzień-

ca była uszczęśliwiona. Im dalej się zapędzał, tem więcej oczy jego nabierały blasku.

Nagle konia zatrzymał i wytężył ucho, a spojrzenie skierował na drugi brzeg rzeki. Zdało mu się bowiem, że słyszy, po drugiej stronie rzeki tentent innego konia. Za chwilę uspokoił się, sądząc, że to echo niosło tentent jego konia.

Tymczasem rzeczywiście zobaczył dwóch jeźdźców. Jeden był młody i ten jechał konno, drugi zaś stary i ten dążył na bryczce.

Wszyscy trzej jechali w tę samą stronę.

Eugenjusz zatrzymał się koło kapliczki, przy której siedział żebrak. Był to człowiek nie stary i dość dobrze wyglądający. Znać Eugenjuszowi był przychylny, bo pozdrowił go serdecznie. Eugenjusz tymczasem przyspieszonymi skokami dzielnego siwosza stanął już nad brzegiem rzeki i przebył wpław rzekę.

Znalazł się u zwalisk starego zamczyska, porośniętego piękną murawą. Tu był cel jego podróży. Zeskoczył z konia, zarzucił cugle na wystający konar jakiś i stanąwszy nad samym rowu brzegiem, podniósł oczy w górę po kamiennej płycie. Za chwilę twarz jego rozjaśniła radość nieziemska prawie; oto zobaczył piękną dziewicę pod cieniem starej lipy. I dlatego od kilkunastu dni dążył dwie mile z domu, aby tylko zobaczyć tę piękną postać.

Młodzi ludzie patrzyli z zachwytem na siebie. Oni by tak całe życie przepędzić chcieli. Ani słyszeli nawet głosu żebraka lub może przemknął im koło ucha jakiś głos ptaszka przelatującego.

— Paniczu! paniczu! — usłyszał wreszcie Eugenjusz tuż nad uchem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



MACIEK BZDURA GADA:

Jak ułał, w tę niedzielę będzie 24 lutego, a przecie wiadomo, ze 24 lutego od samego stworzenia świata było, jest i będzie świętego Macieja, cyli nie przymierzając moje rodzone imieniny. A imieniny la kuzdego człowieka to wielga rzec, a cóz dopiero la takiego hudziaka, jak ja jestem. Wprawdzie moze w zaden inksy dzień tak się ludzie nawzajem nie osukują, jak w imieniny, ale przeciez to zawse urocystość wielka, bo od samego rana solenizant tego i owego się spodziewa. A choć mu nic ze spodziewania się nie przyjdzie, ale zawse to przecie przyjemnie, jak się cegoś mozna spodziewać.

Z imieninami to tak jak z loterją państwową. Na loterje niejeden stawia ostatni gros i jest bez cały miesiąc przy nadziei, ze w dzień ciągnienia jaka wygrana się mu wykoci, ale jak ciągnienie się skońcy, to z nadziei klapa, bo tego los, co się spodziewał, nie wysed, ale cyjsik inksy. Tak i z imieninami. Jesce o imieninach wróble na dachu nie śpiewają, a juz se cłek penetruje, ze jak przyjdzie ten święty dzień, to mu gospodyni na śniadanie rondelek jajeśnicy usmazą, gospodarz pozwolą dymu z fajki powąchać, a Kaśka nie będzie taka harna i choć do człowieka po ludzku zagada. A moze tam ktosik skądsik jakiesik gdziesik i brzęcące zycenia na ten święty dzień przyśle, zeby se bidny Maciek miał cem w tę urocystość swojego maćka ućciwie w pozywienie zaopatrzyć?

Takie nadzieje są przed imieninami, ale po imieninach okazuje się, ze cłek był, jest i będzie zawse głupi. Boć przecie wiadomo, ze w dzisiejsych casach kuzdemu drozsy własny „maciek“, anizeli jakisik Maciek z Psiej Wólki.

Jak powiedziałem, w imieniny to się ludzie najbardziej okłamują. Kto miał kiedykolwiek własne imieniny, niech se przypomni, a zuźry, ze nie łgam. Oto przychodzi do ciebie sąsiad i powiada ci, cobyś był scęśliwy, cobyś zył długo i zeby ci się dobrze powodziło, a w duchu myśli se, zeby cię jak najprędzej pokręciło. Gdyby ci naprawdę dobrze zycył, to nie gadałby po próżnicy, ale przyniósłby ci połeć spyrki, abo z łokieć kiełbasy, tobyś wiedział, ze ci się będzie dobrze powodziło. A tak wszelkie gadania na wiatr i z nich w człowieku ani kropla krwi nie zostanie.

Latego tez ja, kiedy jesce cas, proponuję, zeby znieść wszelkie zycenia imieninowe, takie na gębę, a zaprowadzić całkiem inne. Zamiast psuć se po próżnicy ozór, abo paskudzić papier atramentem, to niech lepiej ten zycentnik takiemu imiennikowi swoje zycenia przemieni na gotówkę. Jak ma zycyć nie wiele, niech mu da albo pośle przynajmniej złotego, jak chce zycyć więcej, niech mu pośle więcej. Z takich zyceń będzie miał imiennik prawdziwą korzyść, a nie jakiesik osukaństwo. Bo weźmy na ten przykład mnie. Nie mówię, co było dawniej, ale od casu, jak gadam w „Roli“ i jestem sławniejsą osobą, jak sam nieboscyk Napoleon. Przez ten cas, a więc od lat dwunastu, dostaję na dwudziestego cwartego lutego całe paki powinsowań i jakby się choć połowa z nich spełniła, to byłbym jesce scęśliwsy, jak aniołowie w niebie, a miałbym tyle wszyćkiego, ze nie tylko za zycia, ale i po śmierci nicbym robić nie potrzebował. A jakby tak kuzden z tych zycentników moich był mi przysłał swoje zycenia gotówką: cekiem lub w markach, to ileby się tego bez te dwanaście roków uzbierało, toby chyba nawet sam prefesór na wszyćkich palcach nie porachował. I widzi mi się, ze takie zycenia byłyby la mnie praktycniejse.

I zreśtą ludzie te zycenia byliby widzieli, bo za otrzymane zycenia byłbym se przedewszystkiem kupił porządną przyodziwę i nie potrzebował portek na pośladku papierem zatykać. A jakbym sed przez wieś, toby kuzdy widział, ze ta capka na mojej głowie, to nie capka, ale zycenia od Maryny ze Sąca, a kosula, to powinsowanie od Jędrka Pacuły, a portasy, to imieniny od Margośki z Wirzchosławic itd. itd. itd. A tak co? Cłek się bez jeden dzień ciesy, ze ludzie o niem pamiętają, a potem wszyćko przejdzie i na drugi dzień ani do gęby ani kaj indziej niema co włozyć. Uceni ludzie myślą nad zreformowaniem kalendarza, a lepiejby zrobili, zeby pomyśleli nad zreformowaniem imienin.

A moze pomyślą? Przekonam się o tem najlepiej w niedzielę dwudziestego cwartego lutego. Ino nie zapomnijcie, ze w dzień ten jest świętego Macieja i ze ja się nazywam święty Maciej.

KARA BOŻA.

Zdarzenie prawdziwe.

Jadwisia uparła się iść na służbę do miasta. Odradzał jej ojciec, ze łzami prosiła matka, ażeby poniechała zamiaru, ale ona: Nie i nie — mówiła — pójdę, zobaczę kawał świata, poznam, jak inni ludzie żyją, a i grosza nieco uskładam, za który będzie można dobytku albo i kawał gruntu dokupić.



Uparła się i poszła. A że była dziewucha świarna i robotna, więc też wkrótce znalazła służbę u starszych państwa, którzy poznawszy jej zalety, więcej ją za towarzyszkę uważali, aniżeli za służącą.

Minął rok i drugi, a Jadwisia służby nie zmieniała, gdyż jej dobrze było u swych żywicieli, którzy we wszystkiem mogli się na nią spuścić i dlatego jej też ani grosza, ani przyodziewy nie skąpili. Jadwisia na służbie nabrała ciała, wypiękniała, a że niczego jej nie brakowało, ubierała się zawsze schludnie, a nawet dostatnio. Nic też dziwnego, że znajdowała coraz więcej adoratorów. Byli między nimi tacy, którzy pragnęli chwilę się pokochać, a potem pójść sobie precz, ale byli i inni, którzy pragnęli pojąć ją za dozgonną towarzyszkę życia. Jadwisia jednak do przelotnych miłostek nie była skora, a i o zamążpójściu niewiele myślała, gdyż czuła to, że dla dziewczyny ze wsi najodpowiedniejszą partją jest zawsze chłopak wiejski, wychowany w tych samych warunkach co i jego żona. A takich przecie w mieście niema. Jeżeliby się nawet trafił, to trzeba go z świecą szukać, a na to Jadwisia czasu nie miała.

Tak sobie myślała i tak postępowała, a przez to nie dopuszczała z żadnej strony do siebie umizgów. A byli różni, którzy smalili cholewki do pięknej dziewczyny, ale ta przyjmowała każdego tak odpychająco, że wkrótce wszyscy odstępowali.

A jednak i na nią przyszła kreska. Pewnego razu państwo Sypniewscy — bo tak się nazywali jej chlebodawcy — zawezwali do domu elektromontera, aby im przeprowadził w mieszkaniu instalację elektryczną. Roboty podjął się chłopak młody, urodziwy, a umiejący tak patrzyć, jak żaden jeszcze dotychczas. Jadwisi na pierwszy jego widok mocniej serduszko zabiło i już nie mogło się uspokoić, choć je tłumiła całą siłą woli. Myśli jej krążyły tylko koło tego Stacha, który tak zręcznie wspinał się po drabince, zaciągał druty i raz wraz spoglądał ku niej, palił ją swym wzrokiem i odbierał dotychczasową spokojność.

Nie mówili do siebie nic, bo i co mieli mówić usty, kiedy oczy ich wszystkie myśli obojga wypowiadały. A Stach, kiedy ukończył robotę i miał już odejść, ujął dziewczynę za rękę, popatrzył serdecznie w jej oczy, i bez żadnych wstępów zapytał, czyby nie zgodziła się zostać jego na wieki.

Serdeczne łzy radości były odpowiedzią Jadwisi na propozycje Stacha. Państwo Sypniewscy pobłogosławili dwoje młodych w zastępstwie rodziców i wkrótce Jadwisia stała się dozgonną towarzyszką życia umiłowanego Stacha.

Mijał rok za rokiem, a dwoje młodych żyło ze sobą w największej szczęśliwości. Pan Bóg obdarzył ich dwoma pociechami, a że Stach pracował uczciwie, a Jadwisia dbała o gospodarstwo domowe, zdawało się, że życie przejdzie im bez trosk i kłopotów.

I byłoby przeszło, gdyby nie źli ludzie. Stach, jakkolwiek szynków i pijatyki nie lubiał, dał się z czasem swym kolegom raz i drugi zaciągnąć do knajpy. A najgorzej, gdy kto raz zacznie leźć w błoto, już mu trudno z niego wydostać się, ale grzęźnie coraz dalej i dalej, aż się zupełnie w niem unurza i trudno mu się potem zeń oczyścić. Stach ani nie wiedział, kiedy zasmakował w knajpiarskiem życiu. Wódeczka i piwcio z dniem każdym nabierały u niego więcej smaku, za napitkiem przyszły karcięta, a za karciętami zjawiły się dziewczęta takie, co to nie sieją ni orzą, a żyją przecież dostatnio i stroją się, jakby jakie hrabine.

Życie takie zmieniło i usposobienie Stacha. Kiedy dawniej powracał do domu, był wesół i zadowolony, witał się serdecznie z Jadwisią, i opowiadał jej swoje uciechy i troski. Spotykał przytem u Jadwisi jasny uśmiech i tyle serdeczności, że mu to wystarczało za trudy dnia całego. Teraz zmieniło się wszystko. Do domu wracał zniechęcony i gderliwy, wszystko go drażniło i wszystko było złe i nagany godne. U Jadwisi nie widział już jasnego uśmiechu, ale łzy coraz częstsze i obfitsze. Podrażniony tem fukał się i krzyczał, a nawet z czasem odważył się podnieść rękę na Bogu ducha winną kobietę. W domu, gdzie dawniej był raj, teraz zrobiło się piekło.

A piekło to z dniem każdym powiększało się, aż przyszło do katastrofy.

Pewnego dnia wrócił Stach do domu wcześniej, aniżeli zwykle. Był cały zmoknięty, gdyż burza zaskoczyła go na ulicy. Zrzucił z siebie ubranie i w zabłoconych butach rzucił się na łóżko. Chwilę nie odzywał się. Jadwisia widząc, że Stach pijany, nie odzywała się zupełnie. Ale to go podrażniło do najwyższego stopnia. Zerwał się z pościeli, a przyskoczywszy z podniesioną pięścią do Jadwisi, krzyknął:

— Widzisz, małpo, żem przemoknięty do nitki! Herbaty z rumem, a żywo!

— Herbata jest i zaraz ci ją przyrządzę, ale rumu nie mam i nie mam też pieniędzy na niego.

— Masz, czy nie masz, ja się o to nie pytam. Powiedziałem: ma być rum i musi być rum.

Jadwisia próbowała mu tłómaczyć, że bez pieniędzy nikt rumu nie da, a zresztą i tak już jest pijany, to każda kropla napoju mogłaby mu jeszcze bardziej zaszkodzić.

To rozwścieczyło Stacha jeszcze bardziej. Począł wyrzucać naczynie z kredensu, niby to szukając rumu, tłuc je i niszczyć wszystko, co się pod rękę nawinęło. Nie pomagał płacz dzieci, nie pomagały prośby Jadwisi, ale owszem drażniło go to jeszcze bardziej. A kiedy nie miał już nic więcej do niszczenia, rzucił się ku biednej kobiecinie i począł ją okładać pięściami, gdzie i ile tylko zdołał.

— Wynoś mi się z domu! — krzyczał — niech cię więcej oczy moje nie widzą! — I wypychał Jadwisię za drzwi, jak jaką przybłędę, a nie żonę własną.

Jadwisia próbowała mu tłómaczyć, że kiedy już tak koniecznie ją wypędza, to pójdzie nazajutrz, a nie teraz, kiedy noc się zbliża i burza szaleje na świecie.

— Niech cię piorun trzaśnie, ciebie i twoje dzieci! —warknął i pchnął biedną kobiecinę w drzwi.

Jadwisia, widząc, że z pijakiem nie poradzi, okręciła chuściną starszą Hanusię, wzięła na ręce młodszą Marysię i bez żalu pożegnała dom ten, który jej tyle strapienia przysporzył.

Ale zaledwie uszła kawałek, niebo oświetliła jasna błyskawica, i runął grom aż ziemia zatrzęsła się pod nogami, a bezpośrednio dał się słyszeć krzyk:

— Piorun uderzył! Pali się!

Odwróciła wzrok i zobaczyła, że dom, który przed kilku minutami opuściła, stoi w płomieniach. Nim doszła doń z powrotem, już jacyś przygodni przechodnie wynosili z płonącego domu jakiegoś trupa.

Był to jej Stach, którego tak rychło za nią spotkała kara Boża. *Antoni Socha.*

Napoleon i jego szewc.

Wiadomo, że Napoleon bardzo mało dbał o swoją powierzchowność. Ten sam szewc, który mu robił buty, gdy Napoleon był jeszcze w szkole wojskowej, robił je także i wtenczas, kiedy został generałem, a po śmierci ojca syn odziedziczył tę zaszczytną robotę. Krój i forma pozostawały zawsze te same, aż nareszcie noga cesarza zgrubiała, a zatem trzeba było koniecznie wziąść nową miarę. Z tego powodu pokojowiec sam udał się do młodego szewca, który jeszcze nigdy nie widział Napoleona i dlatego, gdy trzeba było iść do niego, w wielkim był kłopocie.

— Jakże się mam ubrać na tę wizytę? — zapytał biedny szewczyna.

Pokojowiec powiedział mu, iż musi włożyć na głowę stosowany kapelusz, na nogi czarne spodnie, na grzbiet czarny frak, a do boku przypasać szablę.

Szewc w taki strój nigdy jeszcze nie był ubrany, ale chcąc nie chcąc, musiał posłuchać rady pokojowca i tak wystrojony przychodzi do pałacu cesarskiego. Służący wprowadził go do gabinetu cesarza.

— Wszak to nie waćpan robiłeś mi buty — powiada cesarz, skoro szewc stanął przed potężnym monarchą.

— Nie ja, ale mój ojciec, Najjaśniejszy Panie! — odrzekł pomięszany szewc, nie wiedząc, co robić ze szpadą i kapeluszem.

— A dlaczegoż ojciec waćpana nie przyszedł? — pyta znowu cesarz.

— Jakże miał przyjść, kiedy umarł, Najjaśniejszy Panie!

— Ha! kiedy umarł, więc naturalnie, że przyjść nie mógł — rzekł cesarz. — Cóż kosztuje u waćpana para trzewików?

— Ośmnaście franków!

— Ośmnaście? To za drogo!

— O, Najjaśniejszy Pan może jeszcze droższe dostać!

Cesarz roześmiał się serdecznie z tej otwartej mowy, a szewc, widząc to, stracił zupełnie przytomność. Wziąwszy kapelusz pod pachę, chciał brać miarę, ale kapelusz wypadł mu na ziemię, a szpada zaplątała się między nogi. Zmieszany tym przypadkiem chciał to naprawić, lecz się pośliznął na posadzce i runął na ziemię, jak długi. Wśród śmiechu cesarza zdołał wreszcie wziąść miarę na obuwie.

Nie od rzeczy dodać, że gdy Napoleon targował się tak o cenę butów, małżonka jego, cesarzowa Józefina, znana marnotrawnica, tysiące franków wyrzucała na trzewiczki i pantofelki, a cesarz nieraz się gniewał, będąc zmuszony krocie przeznaczać na spłacenie jej nieustających długów u różnych dostawców jej dworu. Kto wie, czy te długi nie były jedną z głównych przyczyn zatrucia małżeńskiego pożycia Napoleona z Józefiną.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zanzybar III.

W poprzednim numerze „Roli“ opowiedzieliśmy, jak wygląda pora deszczowa w Zanzybarze. Inaczej przedstawia się pora sucha. Nie ujrzysz tam ani chmurki na niebie, nie padnie ani jedna kropla deszczu. Słońce praży całymi dniami niemiłosiernie. Ziemia jednak posiada dość wilgoci, której nagromadziła się dostateczna ilość w czasie deszczów i wylewów.



Pożar lasów w Zanzybarze.

Krajowcy, gdy zbliża się pora sucha ku końcowi, a ma nadejść pora deszczowa, wypalają w całym kraju trawy i krzewy. Wielką szkodę czynią te pożary, bo żywioł niczem niewstrzymany niszczy piękne lasy, a gdzieindziej tamuje wzrost drzew, ale jest konieczny. W tym kraju obfitej wegetacji nigdzie przejśćby nie można, gdyby ogień nie torował dróg.

Pożary te zdala przedstawiają wspaniały widok. Gdy noc zapada, ukazuje się na widnokręgu punkt jasny, który się coraz bardziej rozszerza. Zrazu ogień snuje się wśród trawy, pożera zioła i kwiaty, zwiększa się, biegnie, przeskakuje strumyki, wszystko ogarnia; już jest w lasach, drzewa trzeszczą złowrogim szelestem w jego zabójczym uścisku. Nagle cała góra oświecona rzuca światło w przestrzeń, jak gdyby pochodnia paląca się w ręku olbrzyma. Zarazem gęste kłęby dymu wznoszą się jak słupy ku niebu; wystraszone dzikie zwierzęta rozpraszają się dookoła, nawet królewskie zwierzę, które się dotąd nie lękało nikogo, a dla wszystkich było groźnym postrachem, ucieka przerażone płomieniem, szerzącym śmierć i zniszczenie.

Na naszym pierwszym obrazku widzimy właśnie taki rozchukany pożar traw i lasów, oraz uciekającego przed gorącymi płomieńmi króla pustyni, lwa. Obok niego trzy mniejsze zwierzątka, oszalałe z trwogi, pędzą co sił im w nogach staje. Lew nie ogląda się na łatwą zdobycz, ale, zda się, na równi z wichrem pędzi, aby życie własne ocalić. W trawie w wielkich skrętach pełza wąż olbrzymi. I jemu życie miłe i on radby ujść przed zatraceniem. Ta straszna walka z rozszalałym żywiołem trwa czas długi, trwa potąd, póki ogień nie obejmie swych ofiar lub też póki te nie przedostaną się w jakieś bezpieczniejsze okolice.

A ludzie? Nieraz całe wioski bywają zagrożone i zdarza się niejednokrotnie, że i one padają ofiarą strasznego żywiołu. Palą się wsi, ginie w płomieniach dobytek, cała praca ludzka idzie na marne, a i ludzie wówczas stają się pastwą płomieni. Ale wypadki takie nie są zbyt częste, albowiem krajowcy zabezpieczają się przed nimi, otaczając wioski szerokimi rowami, napełnionymi wodą. Wody ogień nie pokona: zatrzymuje się bezsilny, piszczy i syczy, ale jej zmódz nie potrafi.

Jakże odmienny widok przedstawia nasz drugi obrazek. Widzimy na nim gaj rzadko zadrzewiony a wśród niego chatki Europejczyków, którzy osiedlil się w Zanzybarze. Żyją sobie spokojnie wśród murzyńskich krajowców, nigdy przez nich nie zaczepiani, a często nawet cieszący się ich przyjaznią. A nawet ten osławiony lew, którego wyobrażamy sobie jako najniebezpieczniejszego sąsiada, prawie nigdy ich nie zaczepia, ma on bowiem dość czworonożnej zdobyczy, Widzimy go i tu pędzącego koło osiedli ludzkich z dzikiem w paszczy, a obok niego spokojnie przechodzącego Europejczyka. Lew instynktownie prze-



Niemiłe spotkanie z lwem.

czuwa, a i wie to z doświadczenia, że łatwiejsza walka choćby z najsilniejszem zwierzęciem, które tylko kłami bronić się potrafi, aniżeli z człowiekiem, którego broń nawet z wielkiej odległości rani i zabija.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

12. Latarnia morska.

Wydostawszy się z domu obłąkanych, Iza rozstała się z Janikiem i udała się do domu przewozowego. Ponieważ noc zapadła, musiała przenocować i następnego ranka, przeprawiła się na drugi brzeg.

Kiedy znalazła się na miejscu, praca na okrętach była w pełnym toku. Iza puściła się uliczkami; nagle stanęła i poczęła nadsłuchiwać. Oto usłyszała płaczliwy głos dziecka.

To jej Liddy wzywała pomocy.

Iza szarpnęła drzwi, które pod naciskiem natychmiast się otworzyły. Zdumiona, spostrzegła, że chatka była pustą, a tylko jej dziecko rzuciło się jej w objęcia.

Szczęśliwa matka, porwawszy dziecko na ręce, chciała opuścić ów dom natychmiast.

W tem w progu ukazała się elegancko ubrana pani w szafirowej woalce i zabroniła zabrać Liddy.

Iza przemocą wyrwała się z dzieckiem z rąk nieznajomej i poczęła biedz w kierunku latarni morskiej. Słyszała za sobą kroki prześladowczyni.

Już dopadła drzwi i dostała się w głąb wieży. Tutaj oczekiwała z niecierpliwością pułkownika Rogersa, który lada chwila przybyć z pomocą musiał. Tymczasem jednak nieznajoma podążyła za nią i przemocą wyrwała jej dziecko i zniknęła w tajemniczy sposób.

Pułkownik Rogers, będąc w pobliskim domu węglarza, usłyszał wołanie Izy, i przybył na pomoc. Daremne jednak były jego usiłowania w odnalezieniu dziecka i nieznajomej; zastał tylko Izę zemdloną, którą natychmiast polecił strażnikom przenieść do swego niedaleko położonego domu.

Gdy Iza przyszła do przytomności, Rogers powiedział jej:

— Tu jesteś pani całkiem bezpieczną, — tu może pani spokojnie oczekiwać przyszłych wydarzeń.

— Przyjmuję pańską pomoc, panie pułkowniku, odpowiedziała nieszczęśliwa kobieta, — aż nadto bowiem jestem przekonaną, że w panu znalazłam najszczerszego przyjaciela.

— Mam nadzieję, że niezadługo stanę się pani czemś bliższem jeszcze. Rozwodowi pani dziś już, kiedy ten człowiek okazał się prostym zbrodniarzem, nie stoi nic już na przeszkodzie. Teraz jednak pragnę odnaleźć ukochaną Liddy, dla której będę prawdziwie dobrym ojcem.

— O tak panie pułkowniku, nie pozostawiaj mnie dłużej pod tym względem w niepewności.

— Natychmiast wybieram się na jej poszukiwania.

Rogers uścisnął serdecznie rękę Izy i opuścił pokój. Wydawszy swej gospodyni różne rozporządzenia, udał się w drogę.

Iza pozostawszy sama, rozmyślała o swem porwanem dziecięciu.

W tem nagle poczęła nadsłuchiwać.

Jakieś wołania doszły z oddali jej ucha.

Było w tych wołaniach coś przejmującego ją trwogą.

Wtem posłyszała wyraźniej wołanie:

— Trzymać, łapać!

Iza spostrzegła przerażona, że człowiekiem ściganym, był jej mąż, Artur Norden.

On również widocznie spostrzegł ją w oknie, bo rzucił się w poprzek przez ulicę.

Niedługo potem drzwi domu Rogersa się otwarły i stanął w nich czający się Norden.

— Tu jestem bezpieczny, — wymówił chrypliwym głosem, — tu jest dom pułkownika policji, nie będę więc śledzony, a ty mnie musisz ukryć.

— Przeklęty, — ustąp odemnie, — wołała.

— Kto tu jest w domu oprócz ciebie? — wymówił Norden.

Iza rozpacznym ruchem, próbowała uwolnić się z jego uścisku. Chciała odwrócić się do okna.

— Co tam chcesz robić? — syknął Norden.

— Przywołać policjantów i oddać cię w ich ręce, jak to jest moim obowiązkiem.

— Słuchaj mnie, — rzekł przyciszonym głosem, — chodzi tu o twoje dziecko!

— Kłamiesz, dziecko zabrała nieznajoma pani.

— Dowiodę ci tego, owa pani, która ci je wydarła w latarni morskiej, przyprowadziła je do mnie.

— Owa pani? szatanem być chyba musi, skoro się z tobą sprzymierza!

— Jeżeli mnie zdradzisz, dziecko twoje będzie zgubione, szepnął jej Norden.

— Boże! Boże! — miłosierdzia, — jęknęła Iza, co ja mam czynić?

Wtem usłyszał Norden, rozlegające się kroki po domu. A więc został odkryty.

Zerwał się i chciał rozpacznym wysiłkiem, wybiedz na ulicę.

— Poddaj się, — rozległ się jak grom głos pułkownika, i podniósł rękę z rewolwerem.

Blady z przerażająco zmienionemi rysami, poddał się Norden, swemu losowi.

— Wyprowadzić go! — zakomenderował Rogers.

W tej samej chwili Iza, która nie przeczuwała wcale, co się dzieje w duszy pułkownika, zbliżyła się do niego.

— Panie pułkowniku, on mi groził śmiercią Liddy, on ją ma ukrytą u siebie.

— To niemożliwe — w jaki sposób on panią spostrzegł, i dlaczego pani go ukryła.

— Ja go nie ukryłam, ale on mi groził śmiercią dziecka, jeżeli zawołam o pomoc.

— I pani chce wmówić we mnie, że pani mu uwierzyła, a przecież pani wie, że dziecko zabrała owa pani!

— Ta pani jest jego sprzymierzeńcem.

— Panie pułkowniku, próbuj wydrzeć od niego zeznanie, co do miejsca pobytu mego dziecka, — prosiła Iza.

Rogers skinął tylko zimno głową i oddalił się do swego pokoju.

Tu stał jak rażony gromem.

Miałżeby serce swoje oddać niegodnej kobiecie?

Iza spostrzegłszy dziwne zachowanie pułkownika Rogersa, postanowiła następnego dnia odejść na zawsze z jego życia. Jego milczenie, jego zmieniony sposób postępowania z nią, dowodziły jej, że już się jej wyrzekł. A słowom jej nie dawał wiary!

Napisała więc tylko serdeczny list do Rogersa, w którym wyjawiła mu przyczynę opuszczenia jego domu i cicho wyszła, udając się na poszukiwanie swego dziecięcia.

13. Bunt u przewozu.

Trzej policjanci, którzy ujęli Artura zaledwie wyszedłszy na ulicę, oświeconą tylko tu i ówdzie skąpo latarniami zabrali się natychmiast do nałożenia pęt niebezpiecznemu przestępcy, z obawy, aby im nie zdołał uciec w tłumie.

Kiedy go otoczyli, jeden z nich związał mu mocnym konopnym sznurem ręce w stawach na plecach.

Zgrzytnął zębami z bezsilnej wściekłości, — rad nie rad jednak musiał się poddać, ulegając przemocy.

Kiedy policjanci z uwięzionym zbliżyli się do przewozu, gdzie przybijały małe promowe parowce, tak zwane propelery, już stał tam zbity tłum ludzi, czekających na przybicie do lądu nowego parowca, którym chcieli się zabrać.



W drzwiach stanął Artur Norden.

Policjanci torowali sobie drogę wśród tłumu.

Skutkiem powstałego stąd zamieszania, jakaś kobieta potknęła się i upadła.

To było powodem do buntu. Kilkunastu węglarzy rzuciło się na policjantów i dotkliwie ich pobili. Skorzystał z ogólnego zamieszania Norden i przedarł się całą siłą przez mur ludzi, stojących przed nim, aby dotrzeć do tego końca promu, który właśnie odbijał od brzegu.

Torując sobie drogę rękoma wśród tłumu, uwolniony z więzów, nie przytrzymywany przez policjantów, miał teraz jedną myśl tylko: szukać w ucieczce ratunku.

Kiedy przedarłszy się przez tłum dotarł do poręczy, parostatek odbił już od brzegu.

Wtedy Artur zdecydował się na śmiały skok.

Wskoczył na poręcz.

A z niej rzucił się na pomost.

Zuchwały skok powiódł się.

Norden dostał się na pomost, upadł nań jednak, kiedy tymczasem parostatek odbijał spokojnie dalej od brzegu.

Ale już Norden zerwał się napowrót na nogi.

— Tam biją się i zabijają, zawołał do dozorcy, — lepiej będzie pojechać następnym parowcem. W takiej bójce łatwo coś oberwać można, bo w zamieszaniu ani patrzą, kto w łeb dostanie.

A dozorca, który nie znał właściwego przebiegu sprawy, odszedł do swego zajęcia, nie troszcząc się o człowieka, który wyskoczył z parostatku.

Z cicha się uśmiechając stał Norden przez chwilę nad brzegiem. Na teraz uniknął niebezpieczeństwa, wymknął się z rąk policji, — był wolny!

Ale dokąd zwrócić się teraz, aby nie zostać znów wytropionym, poznanym?

Zwrócił się więc w ciasne zaułki nadmorskiej dzielnicy, i zniknął...

Tymczasem, wyswobodzeni policjanci, daremnie robili poszukiwania na posterunku, rewidując każdego z pasażerów, bo po zbrodniarzu wszelki ślad zaginął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Bolesława.

Rzuciła z pod brwi smętne spojrzenie po ubogiej izdebce i zatrzymała go na małej trumience, postawionej na ławce w kącie izby. Westchnęła głęboko, a z ócz wypłynęły łzy i ścigały się po policzkach i brodzie, a ginęły na rozchełstanej suchej piersi za obrąbkiem zgrzebnej koszuli. Spuściła głowę na piersi i siedziała nieruchoma. Przez mózg jej błyskawicami latały wspomnienia całego ciernistego życia. Obrazy występowały, migały, krzyżowały się, mieniły, plątały, żarzyły.

Nie znała matki i ojca i nie wiedziała o rodzinie. Przybrana matka mówiła jej, że ją znalazła w pieluszkach nad brzegiem rzeki niedaleko miasta. Do pieluszek była przypięta karteczka z prośbą, by dziecko ochrzcić i dać mu imię Bolesława. Przyniesiono ją na wieś i tu się chowała. A gdy podrosła, pasała gęsi — a potem bydło. Kto nie chciał, ten jej nie uderzył, nie kopnął, nie uszczypnął. Nikt się nad nią nie pożalił, nie pogłaskał, nie przycisnął do serca. A gdy zapłakała nad swoją dolą, wyśmiewali ją i wyzywali.

Tak zchodziły lata, a dla niej się nic nie zmieniło, chyba tyle, że teraz robiła jak wół w jarzmie, od rana do nocy. A gdy w domu nie miała pracy, wypędzali ją do domu. Wtenczas poznała Tomka Mordyłę z sąsiedniej wioski, który chodził na zarobek i często pomagał jej w pracy. Polubiła go za to. O jak wtenczas było jej dobrze... Siwe jego oczy widziała do dziś, jak pełne troski patrzały na nią, a usta szepnęły:

— Bolesława, ja dam na zapowiedzi.

Pobrali się. Teraz dopiero zaczęło się życie trudów, twarda praca łzami oblana. Trzeba było trapić się o troszkę soli, o kawałek chleba. Całemi dniami nie najeść się do syta. Dwór rozparcelowali i nie było gdzie zarobić grosza. Byli na kumornem i nie mieli grosza na zapłacenie go. Dzieci było troje, które domagały się jeść. Przyszła zima ciężka i długa. Tomek narobił mioteł i zaniósł na leśniczówkę, by tam dostał jakiej kaszy garść lub mąki, a Bolesława poszła po gałązki do lasu, zostawiwszy dzieci same. A gdy powróciła najmłodsze leżało przy kołysce na ziemi i już nie żyło. Biegała po izbie i nie wiedziała, co robić. Jej Hanusia poszła do innej krainy, by powiększyć grono aniołków. Przyszła wiosna, a z nią dużo wesela i szczęśliwości, ale dla naszej Bolesławy nie była ona radością.

Jednego dnia przybiegł chłopiec sąsiada i powiedział jej, że Jędrusia kopnął koń Mośków i zabił na miejscu. Krzyczała i skomlała — wzywała miłosierdzia Bożego, ale nic nie pomogło. Wynieśli Jędrusia na zielony cmentarz i pochowali obok Hanusi. A Bolesławę po zasypaniu każdego grobu coraz większa pustka obwijała, gniotła i dusiła.

I znowu przyszła zima, wiatry wyły jak psy, śnieżyce i zawieje. Tomek chodził do lasu do spuszczania drzewa i tam jednego dnia został przywalony drzewem. Umarł, zanim go przywieziono do chałupy. Umarł bez świętej spowiedzi!... Bolesława rwała włosy z głowy i gryzła członki. Rozum zaczął się jej psuć. Nie było na trumnę pieniędzy i na pogrzeb. Ale litościwy i dobry ksiądz pleban zajął się pogrzebem. Umarł i pozbył się kłopotu i zgryzoty.

Teraz owionęła ją pustka, wżarła się w ciało i mózg, a głusząc ostatek nadzieji w grób ją chodzący zamieniła. Wiedziała, że jej i to ostatnie dziecko umrze i czekała, kiedy to nastąpi. Czuła, że żyć nie będzie, ale pójdzie za tamtemi. Chciała się niem nacieszyć, napieścić, zanim umrze. Nieraz czuła śmierci dotknięcie i słyszała jak się tłukła po nalepie. Wtenczas przyciskała Jasia do piersi i okrywała starą płótnianką. Nieraz w długie zimowe noce, kiedy z małem leżała na piecu, a w ciemnej otchłani nocy wiatr jęczał za oknem, wtenczas okrutny strach ją przejmował i życie w niej mroził. I byłaby skonała, gdyby nie dziecko. Ale umrzeć nie chciała, póki dziecko żyje. Olbrzymiem wysiłkiem odpędzała śmierć. I tak całemi nocami zażartą walkę toczyła ze śmiercią. Ale śmierć nie ustąpiła, z otchłani mrocznych wypełzła i zabrała duszyczkę Jasia. Teraz Bolesława nie chciała żyć. Nie miała już nikogo na świecie. Do kogo ona teraz będzie mówić?

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Grabarz zasypuje grób Jasia, ona klęczy oparta o krzyż i nie widzi, nie słyszy, że wszyscy już poszli. Klęczy, a dusza jej już daleko, złączona na wieki z tamtemi... I znowu stanęła świeża mogiła obok Jasiowej.

Mogiła Bolesławy znalezionej nad brzegiem rzeki.

Maryśka z Kamionki.

Czartowska skała.

Okazale wspina się ku niebu w przysiółku „Czermianka“ w miejscu ustronnem, na odosobnieniu, wśród lasów szpilkowych, nad dopływem „Olszynki“ znaczna wyniosłość, zwana „przygórze“, wśród której widnieje stroma skała, kryjąca w swem łonie kamień piaskowy, nie nadający się ani do naprawy gościńców ani na materjał budowlany. U podnóża skały, nad brzegiem strumyka, ciągnie się rozległa łąka, dodająca uroku „czartowskiej skale“ w porze letniej, gdy echo fujarek pastuszych obija się o nią wdzięcznym głosem. Według legend ludowych, na obszarach gruntowych, „nad skałą“ położonych, miało w dawnych czasach znajdować się miasto, z którego dziś niema ani śladu, jedynie tylko jedna połać gruntowa, w pobliżu skały leżąca, nosi po dziś dzień nazwę „targowisko“, w którem zakopane są ogromne skarby w złocie, przesuwające się co pewien czas z miejsca na miejsce. Przed niespełna stu laty, znaleziono w lesie nad skałą starodawne, zardzewiałe ostrze dzidy czy oszczepu o którem mniemano, że pochodziło z czasów napadu Tatarów na Polskę. Ową skałę obrał sobie djabeł Rokita na swą rezydencję i widocznie nie źle się wiodło djablej mości w tem miejscu, gdyż jak opowiadali starzy, płatał ludziom różne figle i psoty. Ukazywał się w różnych postaciach zwierząt, to znów widywano go w postaci chłopięcej siedzącego na wierzchołku drzewa, huśtając się. Czasami zabierał znowu w nocy pasące się na pastwisku konie, zaprzęgał do swego powozu i jeździł po rozstajnych drogach a skoro tylko zaczęły piać kury, wyprzęgał konie od wozu i odprowadzał ich z powrotem na pastwisko. Pewnego dnia popołudniu w czasie żniw, gdy ludzie zajęci byli wiązaniem zboża w „nagórzu“ rozciągnął całe zwoje czerwonego sukna i nakrył niem skałę. Ludzie na widok tego niesamowitego zjawiska, porzucili pracę w polu a popędzili ku skale, by sukno pozbierać. Gdy doszli do stóp skały, sukno w jednej chwili zniknęło a Rokita zaśmiał się przeraźliwym głosem na całe gardło, aż się ziemia zatrzęsła.

Innym znów razem wracał podchmielony chłop z zapustów nocą do domu. Droga wypadała mu popod skałę. Gdy do niej doszedł, przedstawiła mu się w postaci jego chałupy, toteż śmiało wszedł do niej i ułożył się do spania, niby w swojem łóżku, w kupę pokrzyw.

Gdy się rano obudził i zobaczył gdzie się znajduje, domyślił się odrazu, że to sprawka Rokity. Niekiedy w nocy udawał płaczące niemowlę, to znów miauczącego kota, szczekanie psa, lub pianie kura.



Na umieszczonym powyżej obrazku widzimy djabła Rokitę, który zaczepił jadącego wieśniaka, aby go otumanić a potem spowodować jakąś niesamowitą przygodę.

Dziś skała ogołocona z drzewa, smutnie przegląda się w zwierciadle wody i zda się dumać nad swą urozmaiconą przeszłością, wspominając sobie ostatniego swego mieszkańca Rokitę, który ją też po wycięciu lasu opuścił i od tego czasu słych po nim zaginął.

Piotr Wenc.



Poradnik gospodarczy.

O chorobliwem wydzielaniu mleka u krów!

Ważnym warunkiem utrzymania zdrowych, silnych i zahartowanych zwierząt domowych — jest staranny ich wychów w czasie młodości.

Odporność przeciw rozlicznym chorobom, silny rozwój ciała, wytrwałość, jednem słowem należyte zdrowie osiągają nasze krowy, gdy się je dobrze za młodu wychowuje. A więc muszą mieć dobrą stajnię, dobrą wodę, zdrową paszę i wypoczymek a przedewszystkiem dobry i staranny dozór.

Kto źle pielęgnuje cielęta za młodu, trzyma je ciągle w stajni zadusznej, nie pozwala wybiegać i wyhasać się, lub ich nie dozoruje, ten nie dochowa się użytecznej krowy. Przez niedozorowanie i t. d. zwierzęta mizernieją, nędznieją i łatwo podlegają choro-

bom. Czyszczenie zwierząt jest także ważną rzeczą przez to usuwa się nie tylko robactwo, kleszcze, kurz, brud i strupki, które zatykają pory ciała, ale także orzeźwia się tem całe ciało zwierzęcia.

U krów należy codziennie obmyć wymię ciepłą wodą i to każdy raz przed dojeniem. Tak samo zadawanie paszy powinno odbywać się w porządku, to jest nietylko o jednym czasie, ale także i w jednakowych ilościach. Bo gdy raz za wiele a inny raz za mało otrzymują, wnet następuje przeładowanie żołądka i słabość, a z tem idzie także w parze i chorobliwe wydzielanie mleka.

Często się zdarza, że krowa jest na oko zdrowa, a mleko wydziela w małej ilości lub też jakość tego mleka nie jest zdrowa.

Przyczyny tego to szukać należy:

1) W wewnętrznym stanie, który jest chorobliwy u zwierzęcia;

2) w wadach trawienia i przyswajania sobie pokarmów;

3) w złej, niezdrowej paszy;

4) w niedozorowaniu;

5) w nagłej zmianie pokarmów.

Dodać tu należy, że mleko może się także zepsuć przez to, że stoi w zaduchliwem powietrzu w stancji w nieczystem naczyniu.

Mleko świeżo wydojone zrazu niczem się nie różni od zwyczajnego, ale gdy czas niejaki postoi, to jest 10 do 12 godzin, tworzą się na powierzchni jego małe, niebieskawe kropki, które się coraz bardziej rozszerzają tak dalece, iż cała powierzchnia jest niebieskawa.

Farbowanie to pochodzi od pierwiastka farbnego, do indygo podobnego, który znajduje się już w mleku, ale dopiero okazuje się, gdy mleko skwaśnieje.

Zwykle tylko śmietana nabiera tego koloru, masło zaś z niej zrobione nie ma go, jest białe i dobre.

Pierwiastek w mowie będący pozostaje w maślance. Zdarza się też czasem, że nie tylko śmietana ale i mleko aż do spodu nabiera koloru niebieskawego, w tym razie masło i ser mają kolor brudny i smak przykry.

Przyczyny tego to spożycie roślin jak n. p. esparcetty, tatarki, wyki łącznej, kwiatu koniczyny, farbnika lekarskiego, skrzypu polnego i t. p. w ogólności roślin niebiesko kwitnących, a z których wyciągnąć się daje pierwiastek niebieski. Dalej picie wody z bagnisk i rowów, w których gniją podobne rośliny.

Czasem mleko niebieskawe dają krowy przez 6 do 8 dni po ocieleniu, poczem samo z siebie ginie; lub gdy na pastwisku w lecie mocna mgła opadła; a najczęściej zaś mleko niebieskawe okazuje się podczas ciągłych upałów.

W takich razach dawać należy bydlęciu więcej lizać soli lub soli glauberskiej potłuczonej z paszą, a gdyby zaś te środki nie okazały się skuteczne, dawać dwa razy na dzień po kwarcie zgotowanego rumianku z małą garścią ałunu rozpuszczonego, — dopóki mleko koloru niebieskiego nie straci.

W wielu wypadkach zapobiega się zafarbowaniu mleka na niebiesko, gdy do świeżo wydojonego mleka n. p. na dwie kwarty mleka dać jedną łyżeczkę od kawy, maślanki.

Czasami zaś nieczystość, stęchlizna, nieczystość naczyń, bywa przyczyną niebieskawego mleka. Należy więc przyczyny te usunąć natychmiast.

Prof. Jan Poraj Nowicki.

Poradnik lekarski.

Odmrożenie.

Niezwykle silna fala zimna, która w ostatnich dniach przechodzi przez całą niemal Europę, uczyniła w wielu wypadkach aktualną kwestję przemarznięcia lub odmrożenia poszczególnych członków ciała i to zarówno u osób dorosłych, jak i u dzieci. Z tych tedy względów warto przypomnąć sobie, w jaki sposób uwidaczniają się odmrożenia i jakie środki zaleca nowoczesna medycyna, by zwalczać przemarznięcie poszczególnych części ciała.

I tak rozróżniamy trzy stopnie odmrożeń. Stopień pierwszy uwydatnia się przez silne zaczerwienienie i puchnięcie skóry, która ponadto w odmrożonych miejscach dość silnie swędzi i rwie. Skoro działanie zimna jest silniejsze i trwa przez dłuższy przeciąg czasu, — wówczas następuje drugi stopień odmrożenia, który objawia się przez tworzenie się pęcherzy, oraz przez czarno-siny kolor skóry. Trzeci wreszcie stopień doprowadza do zupełnego zniszczenia skóry, a w poszczególnych nawet wypadkach do śmierci niektórych organów ludzkich, jak uszy, nos, oraz palce u rąk i nóg.

Organy te sztywnieją pod działaniem mrozu do tego stopnia, że mogą w zupełności odpaść. Dzieje się to wskutek tego, że w organach tych mróz przenika aż do najgłębszych warstw ciała, wobec czego ustaje w zupełności cyrkulacja krwi. Oczywiście, wypadki takie są bardzo ciężkie i doprowadzić mogą — poza utratą danych członków — również i do bardzo niebezpiecznych zmian wewnątrz organizmu, a nawet z czasem — o ile nie przedsięwzięte zostaną odpowiednie środki zapobiegawcze, a działanie zimna trwa, spowodować mogą śmierć przez anemję mózgu i przez osłabienie działania serca.

Aby uchronić ciała od odmrożenia, najlepiej ubierać się ciepło, a gdy mimo tego odmrożenie należy je natychmiast leczyć, aby zapobiedz ciężkim następstwom.

Jeśli odmrożenie jest lekkie, natenczas w miejscach gdzie tworzą się fjoletowe zgrubienia, przyłożyć należy okłady z wody gulardowej lub z alkoholu, oraz posmarować jodyną. W wypadkach silniejszego odmrożenia należy natychmiast starać się przywrócić w zagrożonych organach normalną cyrkulację krwi. Do tego celu nadaje się nacieranie śniegiem, lub też zwilżonemi chustkami i to tak długo, aż odmrożona część nie odzyska ciepłoty ciała.

W wypadkach jednak, jeśli odmrożenie dotyka uszu, nosa lub palców, należy nacierania przeprowadzać bardzo ostrożnie, ponieważ te części ciała wrazie silniejszego odmrożenia łatwo mogą się złamać.

Skoro wreszcie ukażą się w odmrożonych miejscach pęcherze, należy je przeciąć i przyłożyć lekki opatrunek łagodnej maści. Czynności tych nie należy jednak nigdy wykonywać w pobliżu pieca, lub też w silnie ogrzanym pokoju, lecz w miejscu o umiarkowanem ziemnie, tak aby rozgrzewanie się ciała następowało wolno. Jeśli jednak grozi odpadnięcie odmrożonego organu, stosować można jeszcze dłuższe leczenie w ciągłej kąpieli, a gdyby i to zawiodło, uciec się do zabiegu chirurgicznego dla ratowania reszty ciała.

Jak zatem widzimy, odmrożenie należy do dość ciężkich i przykrych przypadków chorobowych, wszyscy winni się zatem przed niem należycie strzec.

KRONIKA.

Od Administracji. Z powodu licznych skarg na późne doręczanie „Roli“ tak Czytelnikom jak i Agencjom zawiadamiamy, że opóźnienia te spowodowane były spaźnianiem się pociągów z powodu wielkich mrozów. Mamy nadzieję, że dzisiejszy numer doręczony będzie normalnie, gdyż mrozy się zmniejszyły.

Mrozy w ostatnich latach. Z powodu silnych mrozów, jakie nawiedziły całą Europę w pierwszej połowie lutego, a które w Polsce dochodziły do 40 stopni Celsjusa, warto przypomnieć, jaka najniższa temperatura panowała u nas w ostatnich kilkunastu latach. I tak w roku 1912 największy mróz wynosił 20 stopni Celsjusa, w 1913 — 17; w 1914 — 16; w 1915 — 15; w 1916 — 11; w 1917 — 12: w 1918 — 16; w 1919 — 22; w 1920 — 15; w 1921 — 11; w 1922 20; w 1923 — 16; w 1924 — 24; w 1925 — 12; w 1926 — 17; w 1927 — 18; w 1928 — 13 Z wymienionych lat największy mróz był więc w 1924, ale nie dochodził do tej wysokości, co w roku bieżącym.

Zagadkowa śmierć chłopca. Z Lutczy koło Strzyżowa piszą nam, że 11 b. m. niejaki Władysław Pitera, liczący lat 20, utopił się w zagadkowy sposób w studni. Woda, którą nabrał ze studni do konewek, stała obok studni, jego zaś znalazła sąsiadka utopionego. Sąsiadka zaalarmowała ludzi, którzy wydobyli Piterę z wody, ale już go nie zdołali przywrócić do życia.

Wielka afera poborowa. Z Drohobycza donoszą: Żandarmerja wojskowa wykryła aferę poborową, zakrojoną na wielką skalę. Głównymi sprawcami byli — jak ustalono — dwaj sierżanci drohobyckiego P. K. U. Pietrzycki i Łucko. Zmieniali oni kategorje z „A“ na „C“ względnie D“, ułatwiając w ten sposób poborowym przeniesienie do rezerwy bez odbycia służby wojskowej, za co pobierali po kilkadziesiąt dolarów od zwolnionej osoby względnie od rodzin tychże. Prócz obu sierżantów aresztowano kilkanaście (podobno 18) osób cywilnych, które występowały w charakterze pośredników, dokonując transakcji w jednym z szynków przy ul. Samborskiej. Ponadto codziennie następują dalsze aresztowania. Głównymi pośrednikami byli: rzeźnik Rothenberg, Markus Webber, obaj z Drohobycza i Leiter z Borysławia. Aresztowanych odstawiono na razie do sądu okręgowego w Przemyślu.

Krwawa walka z bandytami. Krwawą walkę stoczyła policja sosnowiecka z dwoma bandytami, Janem Rygalikiem i Janem Kolaską, którzy brali udział w napadzie na posterunkowego Torbę w Będzinie. Bandyci ukryli się w mieszkaniu jednego z wieśniaków we wsi Porębka. Policja, dowiedziawszy się o ich miejscu pobytu, otoczyła dom i wezwała bandytów do poddania się. Bandyci w odpowiedzi na wezwanie obsypali policję kulami. Rozpoczęła się obustronna strzelanina, która trwała blisko dwie godziny. Jeden z bandytów po wyczerpaniu zapasu kul, ostatnim strzałem odebrał sobie życie. Drugi, Rygalik, poddał się. Skuto go w kajdany i przewieziono do więzienia w Sosnowcu.

Wilki na Śląsku. W związku z ostremi mrozami ostatnich dni, występują na Śląsku Cieszyńskim w większej ilości wilki, których pastwą pada przeważnie żywy inwentarz, choć nie brak również i ofiar w ludziach. W pewnej wsi obok przełęczy jabłonkowskiej znaleziono w tych dniach niedogryzione kości jakiejś kobiety, znaleziono też książki szkolne, jako jedyną pozostałość po chłopcu, który szedł do szkoły. Ostatnio urządzono na Czartorji wielką obławę, która jednakże nie dała rezultatów. Na Górnym Śląsku posterunki policji w Kamieniu i Wielkiej Dąbrówce urządziły obławę, w której wzięło udział 40 policjantów. Niedaleko kopalni Andaluzja natrafiono na stado wilków, przyczem kilka z nich zastrzelono. Jak ustalono, wilki wyszły z lasu od strony Wojkowic Komornych.

Skruszona złodziejka. W Koźle na Śląsku okupowanym przez Niemcy, kupiec pewien otrzymał przez pocztę pismo, w którem znalazł 50 marek. Nadawcą listu była dawniejsza służąca kupca, która zeznała w liście, że ukradła mu swego czasu 40 marek. Ukradzioną wówczas sumę zwraca przeto z procentami właścicielowi, prosząc zarazem o przebaczenie.

Napad wilków na stację kolejową. Z Chojnic donoszą: Na zabudowania stacji kolejowej w Rytku powiatu chojnickiego napadło dnia 13 b. m. wieczorem stado wilków. Stado dobierało się do chlewów, gdzie znajdowały się świnie. Służba kolejowa, uzbroiwszy się w drągi, ruszyła na zgłodniałe wilki. Z wielką trudnością i narażeniem życia udało się wreszcie odpędzić napastników, bowiem na stacji w danej chwili nie było broni palnej.

Ucieczka sarn do stajni. Panujący obecnie mróz daje się we znaki nietylko ludziom, ale też odczuwają go dotkliwie zwierzęta leśne. Ze wszystkich stron dochodzą wiadomości, że zwierzęta z powodu silnego mrozu oraz z braku pożywienia podchodzą do osiedli ludzkich, by tam zaspokoić swój głód. O niezwykle ciekawym takim wypadku donoszą z Dziadkowa, majętności należącej do p. Pruszewskiego, gdzie dość pokaźne stado saren weszło na podwórze, poczem schroniło się w jednej ze stajen majętności. Zgłodniałemi zwierzętami zajęto się troskliwie, a zwierzęta, nie okazując specjalnego strachu, pozostały w stajni.

Wielki mróz pozbawia zwierzęta leśne swej dzikości. Pozwalają one człowiekowi nieraz zbliżyć się do siebie.



Na obrazku naszym widzimy jelenia, który nie boi się turkotu przejeżdżającego w czasie wielkiego mrozu auta, ale podchodzi jak obłaskawiony do siedzącego w aucie człowieka, w nadziei, że ten sprawi mu ulgę w jego cierpieniu z powodu mrozu.

Skarb ukryty. Przed paroma tygodniami drwal, rąbiący drzewo w lesie, znalazł w Ungwarze, na Rutenji czechosłowackiej, stare pismo węgierskie, ukryte w dziupli starego dębu. Kiedy uczonym udało się odcyfrować to pismo, okazało się, że jest to testament, pochodzący z 1715 roku, w którym sporządzający go podał szczegóły związane z ukryciem przez niego skarbu na szczycie góry K lomana w pobliżu Ungwaru. Miejsce ukrycia skarbu opisane jest jako jaskinia, wydrążona w skale. Po usunięciu skały znalezione zostać mają drzwi, do których klucz ukryty jest pod ich progiem. Drzwi te prowadzą do jaskini, w której mieszczą się żelazne beczki w liczbie siedmiu, pełne srebra, dwanaście beczek złota, a także wielki zapas broni i amunicji.

Czescy pracownicy kolejowi zabrali się niezwłocznie do kopania w miejscu wskazanem w dokumencie, ale jak do chwili obecnej nie natrafili na żaden ślad jaskini ani drzwi, do niej wiodących.

Kary na pijaków w Jugosławji. Gazety donoszą z Belgradu, że w najbliższym czasie powzięte tam będą ustawowe zarządzenia przeciwko alkoholizmowi. Rząd jugosłowiański nie chce pójść tak daleko jak Ameryka i Skandynawja, niemniej jednak będą wydane surowe postanowienia przeciwko szkodliwym skutkom alkoholizmu. Mają być nakładane wysokie kary na tych, którzy w miejscach publicznych przychwyceni będą na pijaństwie. Przydałaby się i u nas podobna ustawa.

Niebezpieczny łup. W Lionie we Francji popełniono w tych dniach kradzież nieobliczoną wprost w swych straszliwych skutkach. Chodzi mianowicie o ukradzenie z jednego z lekarskich laboratorjów trzech zalakowanych puszek zawierających bakterje dżumy. Policję, pracującą z całą wzmożoną energją przy wykryciu winowajcy, zastanawia przedewszystkiem pytanie, czem mógł powodować się złodziej, kradnąc tak niezwykłe przedmioty, nie posiadające żadnej realnej wartości, a niebezpieczniejsze niż najbardziej groźny materjał wybuchowy. Wspomniane puszki znajdowały się w żelaznej szafie doświadczalnego laboratorjum doktora Pawła Galion. Przywiózł on je na dwa dni przed ich ukradzeniem z Paryża i tylko dwaj asystenci lekarza i jego sekretarka wiedzieli o ich egzystencji. Kradzieży dokonano podrobionym kluczem, gdyż zamek skarbczyka został nienaruszony. Przesłuchanie asystentów i sekretarki przez sędziego śledczego ujawniło ich zupełną niewinność. Zachodzi obawa, że sprawca tego czynu nie wie zupełnie o straszliwem niebezpieczeństwie, jakie zawiera w sobie zdobyty przezeń łup i okoliczność ta dodaje największej grozy całej tej tajemniczej aferze.

Śmiertelny skok z pociągu. Wstrząsająca scena rozegrała się w pociągu pospiesznym Bytom Berlin pomiędzy stacjami Brzeg i Girsdorf. Jadący tym pociągiem przemysłowiec Grünberg i lekarz Dr Walter Hollweg, prowadzili ze sobą ożywioną rozmowę na korytarzu wagonu 2-giej klasy. Nagle w czasie rozmowy Dr Hollweg otworzył drzwi wagonu i błyskawicznie wyskoczył z pociągu, pędzącego z ogromną szybkością. Pociąg zatrzymano natychmiast sygnałem alarmowym i udano się na poszukiwanie lekarza. Znaleziono jednak już tylko jego zwłoki z roztrzaskaną czaszką. Dr Hollweg w rozmowie z Grünbergiem wspomniał, że jedzie w odwiedziny do krewnych we Wrocławiu i nic nie wskazywało na to, że rozgrywa się w jego duszy ostatni akt jakiejś tragedji.

Leciwa staruszka. Donoszą z Hamburga, iż zmarła tam 104 letnia wdowa Luiza Sowa, najstarsza mieszkanka Hamburga i okolic. W dniu 25 marca kończyła ona 104 lata. Do ostatnich dni swego życia zachowała całkowitą przytomność umysłu i nawet brała udział w roku ubiegłym w wyborach do Rady miejskiej.

Najdłuższy kanał na świecie. W ubiegłym tygodniu ukończono przekop nowego kanału, budującego się około portu Williama w Szkocji. Kanał ma długości około 25 klm. Koszta budowy kanału, którego połowa nie jest jeszcze ocementowana, wyniosą kilkadziesiąt miljonów złotych. Ma to być najdłuższy kanał podwodny na świecie. Kanał służyć będzie celom przemysłowym.

Meteor. W nocy z dnia 11 na 12 lutego o godzinie 2 całą Litwę zelektryzowało niezwykłe zjawisko. Niebo nagle zajaśniało dziwnem światłem, które wypływało z jakiegoś poruszającego się ciała, przypominającego ogon komety. Kiedy ciało to zbliżyło się do ziemi, rozległ się przerażający łoskot, połączony z lekkiem trzęsieniem ziemi. Światło tego potężnego meteoru, który niewiadomo jeszcze gdzie upadł, widziane było również w Kownie. Lud łączy ukazanie się rzekomej komety z przep wiednią wojny.

Rozruchy na Witebszczyźnie. Z Mińska donoszą, że w okolicach Witebska we wsi Dobre Góry, G. P. U. wykryło tajną organizację kontrrewolucyjną, na której czele stał miejscowy pop Kwiatkowski. Urzędowe źródła podają, iż śledztwo rozpoczęło się z chwilą, gdy w całym rejonie Witebska krążyć poczęły pogłoski o rychłym upadku bolszewików i przyjściu Polaków. Pogłoski te rzekomo rozpowszechniane były przez organizację Kwiatkowskiego. Pomocnikami popa byli dwaj bracia Krumiłowicze. Organizacja prowadziła z wielkiem powodzeniem agitację kontrrewolucyjną, zrywała posiedzenia komunistyczne, dokonywała aktów terorystycznych i t. d. Aresztowano wiele osób. Jednocześnie podają o krwawej rozprawie z komunistami we wsi Moskalenka. Miejscowi i okoliczni chłopi, uzbrojeni w rewolwery, a częściowo widły i topory, otoczyli dom przewodniczącego sowietu w chwili, gdy odbywał się tam zjazd wszystkich czynnych komunistów z całego rejonu. Dom został całkowicie zdemolowany, a następnie podpalony. Kilku komunistów zamordowano, 13 odniosło ciężkie rany. Na miejsce wypadku zjechały władze GPU., sekretarz komunistycznej partji z Mińska i prokurator. Aresztowano 16 włościan.

Trzęsienie ziemi. W okolicach Władykaukazu odczuto wstrząsy podziemne. Trwały one przeszło 30 sekund. Ściany wielu domów zarysowały się. Nastąpiły też obsunięcia się gór.

Walka orłów z sarną. Rybacy duńscy, łowiący ryby na pełnem morzu, byli świadkami walki między orłami a sarną, chodzącą po przybrzeżnym lodzie. Sarna zmorzona głodem i niezwykłemi mrozami oraz oślepiona skrzącym w słońcu śniegiem, wybiegła na przybrzeżny pas lodu i poczęła kręcić się w kół o. Zobaczyły ją dwa orły i uderzyły na ofiarę. Pod ciosami potężnych dziobów sarna odzyskała przytomność, lecz orły nacierając od strony lądu, spychały ją ku wodzie. Wkrótce sarna padła martwa. Rybacy przypatrywali się całej scenie bezsilnie, gdyż walka rozgrywała się na lodzie zbyt cienkim, by pieszo tam dojść, za grubym zaś, by przełamać go łodzią. Na krzyki i ciskanie zdala bryłami lodu, ptaki nie zwracały uwagi, strzelać zaś orłów w Danji nie wolno.

Zamach bombowy na prezydenta Meksyku. Dnia 9 lutego nastąpiło stracenie mordercy prezydenta Meksyku Obregona Torrala. Przy pogrzebie jego doszło do krwawych walk ulicznych, przy których 3 osoby zostały zabite a 30 rannych. Równocześnie nieomal rzucono bombę dynamitową pod pociąg, którym jechał prezyzent Meksyku. Prezydent wyszedł cało. Uważają, że zamach ten powstał wskutek odmowy prezydenta ułaskawienia Torrala. Dwóch kolejarzy straciło wskutek zamachu życie.

Ostatnie życzenie skazańca. W kulturalnem świecie istnieje taki zwyczaj, że ostatnią wolę umierającego czy skazanego na śmierć uważa się za świętą. Zwyczaj ten nieraz sprawia wiele kłopotu władzom sądowym, gdyż skazani na śmierć mają często życzenia nierealne lub sprzeczne z obowiązującemi przepisami. W Ameryce, propagującej zaciecie zakaz alkoholu, pewien skazaniec prosił, by mógł wypić koniaku z dyrektorem więzienia. Dyrektor rzeczywiście postarał się o dwa kieliszki żądanego trunku, za upionego drogą oficjalną w aptece za okazaniem recepty lekarskiej. W ostatniej chwili jednak skazaniec uspokoił się tak dalece, że zrezygnował z koniaku, a dyrektor więzienia

wypił na jego życzenie obydwa kieliszki. Z powyższego przykładu wynika, że i władze dla zaspokojenia własnego sumienia wolą nawet uczynić małe przestępstwo prawne, niż odmówić prośbie skazańca. Bardziej zawiły wypadek zdarzył się jednak ostatnio w Londynie. Reginald Clarke, dwudziestoletni młodzieniec zamordował wdowę Fontaine i skazany został na śmierć. Clarke leczył rzekomo za pomocą snu hypnotycznego i psychoanalizy, w rzeczywistości wymuszał tylko od swych ofiar pieniądze. Polował on specjalnie na posażne kobiety, z którymi regularnie się zaręczał i przyrzekał małżeństwo. Ostatnio zamieszkał u wdowy Fontaine i zmuszał ją do płacenia regularnej pensji. Córka wdowy zakochała się w nim i zamyślała go poślubić. Wdowa jednak przejrzała nieczyste zamiary Clarke'a, który termin ślubu ciągle odkładał i żył jej kosztem, i wypowiedziała mu mieszkanie. W następstwie tego Clarke zamordował wdowę i zamierzał także odebrać życie córce, lecz wczesna pomoc uchroniła ją od śmierci. Obecnie Clarke prosi sąd, by mógł przed wykonaniem wyroku poślubić córkę swej ofiary. Córka pani Fontaine zgadza się na poślubienie mordercy matki, niewiadomo tylko, jak sąd na to się zapatrywać będzie.

Suka w okularach Pewien Amerykanin, myśliwy, zauważył, że piękna jego wyżlica angielska, potyka się podczas polowania, wpada w doły, uderza łbem o krzaki lub drzewa, pomimo więc doskonałego węchu nie spełnia zadania swojego należycie. Wreszcie właściciel wpadł na myśl, że należałoby poradzić się lekarza okulisty. Zabrał więc wyżlicę do wybitnego lekarza. Po dłuższem badaniu i wysłuchaniu opowiadania, lekarz oświadczył: „Pies ma krótki wzrok i musi przyzwyczaić się do noszenia okularów".



I rzeczywiście suka przyzwyczaiła się do sporządzonych umyślnie dla niej szkieł, zabezpieczających jej oczy i przytwierdzonych za pomocą sznurków oraz drutu tak mocno, że nie zsuwają się nawet podczas biegu i skoków. Uzbrojona w te okulary wyżlica odzyskała zupełnie dawną pewność siebie. Za to koledzy jej i koleżanki z psiego rodu spoglądają z wyrazem wielkiego zdziwienia i przestrachu na wyżlicę. Gdy zbliża się do nich, podwijają ogony i ustępują jej chyłkiem z drogi.

Dama bez spodnicy. Komiczny wypadek zdarzył się w Buenos Aires, stolicy Argentyny, podczas odwiedzin prezydenta Stanów Zjednoczonych, Hoovera. Oto w momencie, gdy prezydent Argentyny Irigoyen uścisnął dłoń Hoovera i gdy zabrzmiały wiwaty na cześć dostojnego gościa, mnóstwo osób z publiczności przerwało kordon wojskowy, by również zamienić z Hooverem uścisk dłoni. W ciżbie tej najzawzięciej przepychała się ku gościowi jakaś nadobna donna. W pewnym momencie udało jej się wydostać na wolniejsze miejsce koło Hoovera, pobiegła więc ku niemu i z zapałem uścisnęła mu dłoń. W podniosłym tym momencie olbrzymi tłum ryknął śmiechem. Śmiał się prezydent Irigoyen, ministrowie, wojsko, lud, a nawet poważne oblicze Hoovera zdradziło hamowaną chęć śmiechu. Co się stało? Oto przepychając się przez tłum, roznamiętniona panna postradała spódnicę. Wątła tkanina podeptana została nogami tłumu, a jej właścicielka o niczem nie wiedząc, mimowoli zrobiła ze siebie widowisko. Sytuację opanowali momentalnie policjanci, którzy zażenowaną damę otoczyli ścisłym kordonem i z pospinanych agrafkami chustek własnych (a są one w Argentynie mocno kolorowe i bardzo obszerne...) zaimprowizowali coś w rodzaju spódnicy. Dzielna panna, uzyskawszy tę namiastkę stroju, poczęła energicznie wiwatować na cześć Hoovera, a porwany tłum oklaskiwał ją rzęsiście, a gazety opisywały szeroko ów wypadek. Oto nawet brak spódnicy może zrobić kobietę sławną.

„Żelazny" akademik. W tych dniach zmarł w Nowym Jorku pewien 78-letni mężczyzna, który od 18 roku życia był studentem uniwersytetu Columba. W ciągu tak długiego okresu zdobył ten dziwny człowiek trzynaście doktoratów. Koledzy jego nadali mu żartobliwie czternasty doktorat z tytułem „Doktór nieprzerwanego studjum". Nazwisko tego studenta przez 60 lat brzmiało Cullenkemp. Był członkiem wielu wytwornych klubów w Nowym Jorku i rozporządzał dużemi środkami materjalnemi. Cullenkamp podróżował wiele, ale zawsze z początkiem roku akademickiego jawił się w Nowym Jorku, by zapisać się na uniwersytet.

Lot dookoła świata. Miljoner amerykański Black odbywa wielką podróż powietrzną z Londynu przez Francję do Egiptu Afryki wschodniej, Indji i Chin, na trzymotorowym samolocie pasażerskim, pilotowanym przez dwóch lotników holenderskich. Black odleciał z Londynu dnia 12 b. m. o 8 minut 30 rano.

W płonącym samolocie. Juljan Haddon, porucznik lotnictwa amerykańskiego, odbywał w tych dniach próbę z nowym samolotem. Maszyna spisywała się doskonale i w krótkim czasie osiągnęła wysokość 32.000 stóp, czyli przeszło 10.000 metrów. Może pomknęłaby jeszcze wyżej, ale to była ostatnia cyfra, którą lotnik odczytał, bo już potem, przy temperaturze około 50 stopni Celsjusa poniżej zera, stracił przytomność. Kiedy otworzył oczy, był już tylko na wysokości 10.000 stóp, a samolot pozbawiony kierownictwa, znajdował się w bezwładnem spadaniu. Powietrze jednak było już znacznie gęstsze, temperatura łagodniejsza, więc Haddon zdołał się opanować i skierował aparat na powolne lądowanie. Wszystko zdawało się na najlepszej drodze, gdy nagle pękło połączenie z motorem, z którego buchnął płomień i podniecany straszliwym pędem aeroplanu przez powietrze, ogarnął wnet cały aparat. W tej chwili lotnik ujrzał pod sobą wielkie, równe i puste pole, nadające się doskonale do lądowania. Zbierając zatem całą przytomność umysłu i wszystkie siły, starał się sprowadzić tam samolot powolnym lotem ślizgowym. Ale płomienie biły coraz wyżej, gorąco stawało się z każdą chwilą coraz większe, aż wreszcie na wysokości 3.000 stóp to jest mniej więcej 1.000 metrów, stało się nie do wytrzymania. Płomienie zaczęły już lizać skórzany kostjum lotnika. W tej dopiero chwili dzielny oficer zdecydował się opuścić aeroplan, widząc, że go w żaden sposób ocalić już nie zdoła i, powierzył się spadochronowi. Chwilę leciał jak kula na dół, a kiedy już uzyskał potrzebną do otwarcia spadochronu szybkość, pociągnął za linkę i już spokojniej począł się zniżać do ziemi. Po drodze minął go w powietrzu aeroplan, ogarnięty płomieniami, i Haddon z góry widział go, jak się rozbił o ziemię. Lotnik wylądował, doznając tylko lekkiego stosunkowo wstrząsu.

RZECZY CIEKAWE.

Gdzie zimują bociany.

Patrząc na odlatujące bociany, niejeden zadaje sobie pytanie, dokąd dążą te przemyślne ptaki? jak wyglądają zimowe ich leże?

Szukać trzeba daleko za morzami, za górami o tysiące mil od Polski, a jednak nasze poczciwe boćki, nie czekając mrozu i zawiei śnieżnych, udają się tam corocznie, żeby z nadejściem wiosny, powrócić do swoich starych gniazd i klekotać po swojemu: „kle! kle! kle! będzie dobrze było źle".

Zajrzyjmy do zimowisk bocianich. Jest w Afryce podzwrotnikowej, ogromny, lecz mało zaludniony, zwany Rodezja, należący do Anglji. Ani bocianów, ani jaskółek, od których w nim się roi, nikt tam o paszport nie pyta.

Jest to olbrzymia puszcza, pełna cennych drzew, jako to: hebany, mahonie, drzewo żelazne, palmy różnych gatunków, potężne sykomory i prastare baobaby. Dokoła pni i konarów zwieszają się grube ljony-rośliny pnące, osypane najpiękniejszemi kwiatami. A jaka tam moc osobliwych krzewów, między któremi prym trzymają dziwaczne, najeżone kolcami kaktusy, podobne niekiedy do nieruchomych potworów! Większe i mniejsze śród puszczy polany, zarośnięte są gęstą trawą, która w pobliżu wód dochodzi 6 m. wysokości.

Ponad splątaną gęstwiną drzew rozpościera się czysty lazur nieba, po którem płyną niekiedy białe obłoczki. W porze deszczowej, kwitną tu w dolinach małe, półtora metra wysokie palmy liljowe, napełniające wnętrze lasu czarowną wonią.

Liczne rzeki, dopływy wielkiej arterji wodnej, Zambezi, przepływają puszczę, nadając jej bajeczną żyzność. Są one nadzwyczaj rybne, lecz obfitują też w krokodyle i hipopotamy. Świat zwierzęcy jest niemniej bogaty, jak roślinny: żyją tu słonie, bawoły, lwy, lamparty, nosorożce, żyrafy, szakale, antylopy, węże, dusiciele, ogromne jaszczurki. A jakaż tu moc ptactwa, począwszy od kolibrów i papug, a skończywszy na orłach! Nic dziwnego, że polskie bociany i jaskółki czują się doskonale w tak licznem i dobranem towarzystwie. Pożywienia mają wbród, czarnej febry zaś, będącej plagą tego rodzaju ziemskiego, nie obawiają się wcale.

Rodezja jest olbrzymią falistą wyżyną, wznoszącą się na wysokości 1300 do 1500 m. nad poziom morza. W dolinach, temperatura w lecie dochodzi do 45 stop. C. w cieniu; w zimie najniższa wynosi 7 stop. Pora deszczowa trwa przez 3 miesiące, podczas naszej zimy; przez resztę roku jest ciągle pogoda.

Gdyby nasi skrzydlaci podróżnicy umieli mówić, ileż ciekawych rzeczy mogliby nam opowiedzieć o życiu w przepysznych puszczach Rodezji!

Wpływ alkoholu na płeć.

Zagadnienie płci dziecka jeszcze przed jego urodzeniem, oraz badania nad czynnikami wpływającemi na ukształtowanie się płci, oddawna już zajmują świat naukowy.

Ostatnio do bardzo ciekawych wniosków, opartych na długoletnich badaniach, doszła uczona niemiecka, Agnieszka Blum, która specjalnie zajęła się zagadnieniem płci u potomstwa alkoholików. Po skrupulatnych badaniach doszła ona do przekonania, iż alkohol wpływa b. poważnie na ukształtowanie się płci. Potomstwo bowiem alkoholików jest przeważnie płci męskiej, natomiast abstynenci i ludzie nieużywający napojów wyskokowych, mają potomstwo rodzaju żeńskiego.

Doświadczenia swoje prowadzi dr. Blum od roku 1921 w instytucie biologicznym w Dahlen. Rozpoczęła je od badań na szczurach i stwierdziła z całą dokładnością, że szczury którym podawano alkohol, wydawały samych samców, szczury zaś odżywiane normalnie tylko samiczki.

Otrzymawszy tego rodzaju wyniki, doktór Blum zaczęła badać stosunki rodzinne u alkoholików, względnie w tych rodzinach, gdzie często używany jest alkohol.

Badania te całkowicie potwierdziły poprzednie doświadczenia przeprowadzone ze szczurami.

Z danych statystycznych zebranych przez dr. Blum wnika, że potomstwo alkoholików i ludzi pijących w 72 proc. jest rodzaju męskiego, w 28 proc. zaś żeńskiego.

U abstynentów natomiast i zwolenników jarskiej kuchni, stosunek jest odwrotny. Wśród dzieci olbrzymi procent stanowią dziewczynki, niewielki zaś chłopcy.

Sanki rakietowe.

Według doniesień z Monachjum na zamarzniętem jeziorze Starnberger See odbyła się 9 bm. popołudniu próbna jazda sanek rakietowych skonstruowanych przez inżyniera Maxa Valiera. Sanki owe były wyposażone w 18 rakiet wybuchających kolejno. Według zapewnień konstruktora próba przewyższyła jego oczekiwania, gdyż sanki rozwinęły przeciętną szybkość 378 km. na godzinę, już po trzecim wybuchu przód sanek uniósł się na kształt pocisku, ledwo dotykając zaśnieżonej tafli lodowej. Wskutek nierówności terenu sanki zboczyły w pewnym momencie z swego prostolinijnego toru, zwracając się w stronę miejsca, gdzie zgromadziła się publiczność w liczbie 3 tysiące osób. Na szczęście wszyscy zdołali się cofnąć, a tylko sanie kończąc swój bieg uderzyły o brzeg, doznając z przodu tylko nieznacznych uszkodzeń. Wobec tego, że teren na którym dokonywano prób był niedość dobrze zabezpieczony przed natłokiem ciekawych zaniechano projektowanej tego dnia próby z pięciometrowej długości modelu samolotu rakietowego.

Człowiek, który włada 79 językami.

Jest nim, według pism niemieckich, niejaki Teodor Schultheiss, nauczyciel gimnazjalny z Berlina, który włada podobno zupełnie biegle wszystkiemi językami europejskiemi, kilkoma azjatyckiemi i kilkunastoma afrykańskiemi. Gdy do ogrodu zoologicznego w Berlinie przybyła trupa Trypolitańczyków, porozumiewających się między sobą mieszaniną kilkunastu narzeczy, Schultheiss przez dwa dni przysłuchiwał się ich rozmowom, poczem zaczął z nimi zupełnie swobodnie gawędzić.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Wł. Szwabowicz** w K.: Owszem niech Pan przyśle, a po przeczytaniu zadecydujemy co do druku. Zagadek mamy bardzo dużo, więc czekają w tece na lepsze czasy. — **Irka Kaczorówna:** W logogryfie jest maleńka usterka, gdyż zamiast Juljan Niemcewicz podała Pani Nimmcewicz. — **Zbigniew Pelc** w Ł.: Logogryf zupełnie dobry. — **Jula Jurczykówna** w M.: Kochana Panno Julciu! Liścik Pani jest dla mnie bardzo miły, ale... Niejedna rzecz niewidziana może się wydawać piękną, a gdy się jej człowiek dobrze

przypatrzy, traci na wartości. Tak i ja wolę w wyobraźni moich kochanych Czytelniczek uchodzić za młodego, pięknego, dobrego, słowem za człowieka, który zasługuje na tę miłość, jakiej jest przedmiotem. A gdybym tak umieścił swoją podobiznę, prysłby może czar z ogromną szkodą dla mnie. Ale aby był wilk syty i owca cała, mam ja inny zamiar. Otóż z wiosną, kiedy pozbędę się trosk i nieco utyję, dam zrobić swoją podobiznę i każdemu, kto sobie będzie tego życzył, poślę z swoim podpisem. Czy dobrze? Będzie ją można oprawić w ramki lub rzucić na śmiecie. Co kto będzie wolał. Ściskam serdecznie tę małą „łapkę", która tak miły dla mnie liścik napisała. — **Józef Rodak** w T.: Nadesłany logogryf zupełnie dobry. — **Franciszek Kruk** w G.: Pan Kowalczyk i ja za wierszyk o „Roli" dziękujemy. Adres poprawiony. Prosimy o zwrot numerów dwa razy posłanych. Pod opaską, znaczek 25 groszy. — **Jan Nita** w Szcz.: Nie możemy się domyśleć, o jakich dwóch wierszach Pan wspomina. Nic tam bowiem niema takiego, coby mogło razić czyjeś sumienie. — **Andrzej Dej** w W.: Wierszyki zupełnie dobre, przeznaczamy je więc do druku, ale kiedy je umieścimy, trudno nam oznaczyć. — **Leon Ludwa** w T.: Kwadrat magiczny dobry. — **T. Rajca** w T.: Nadesłane zagadki dobre. — **Jan Smara** w Z.: Do druku trzeba koniecznie pisać atramentem i tylko po jednej stronie papieru. — **Edward Gorczyca** w S.: Logogryf dobry. — **Edward Cygan** w J.: „Królewski dar" zamieścimy. — **Janina Kowalcówna** w Z.: Ja jeszcze bardziej chciałbym poznać wszystkie Czytelniczki „Roli" aniżeli One mnie, ale cóż robić, jest to przecież niemożliwe. Kochajmy się więc dalej, chociaż z daleka. — **Karol Wardzała** w N.: Za tak miłe dla nas słowa uznania serdecznie dziękujemy. Na przyszłość mamy w tece bardzo wiele ciekawych rzeczy, które w najwyższym stopniu zainteresują Czytelników. — **Włodzimierz Jacyszyn** w K.: Artykuł bardzo ciekawy — zamieścimy. — **Franciszek Śmigielski** w W.: Do druku trzeba pisać koniecznie po jednej stronie papieru. Zagadki dobre. — **Walenty Pasierb** w Cz.: Czemu tak rzadko teraz Pan się odzywa. „Rola" tęskni za Pańskiemi pracami. Za wierszyki dziękujemy. — **W. Lurka** w Ż.: Niech Pan zgłosi ogłoszenie w numerze „Roli" na takie zapotrzebowanie. Tego rodzaju hurtowników nie znamy. — **Jan Serbeński** w Cz:. Wspomnianą książkę może Pan nabyć w księgarni Krzyżanowskiego, Kraków, Rynek. Cenę takich książek Panu podadzą. Kalendarze posłaliśmy. — **Jan Mikler** w St. W.: Na odcinku przekazowym napisał Pan „Zamówienie wysyłam listownie". Ale poco? wystarczyło napisać na odcinku przekazowym „Prenumerata". List dopiero teraz otrzymaliśmy. Numera zaległe przesłane. Kto przyśle pieniądze, a nie napisze na co, to posyłamy „Rolę". Przypuszczaliśmy, że pieniądze na co innego są przeznaczone. — **Szymon Plichta** w St.: Za życzliwość dziękujemy. Pod wskazanym adresem do Ameryki wysyłkę rozpoczęliśmy. Cześć! — **Jan Matyasz** w T.: Wszystkie numera miał Pan posłane i do urzędu pocztowego Kurowice doszły. Komuś się spodobał „Djabeł łęczycki" i wszystkie trzy numera przepadły. O regularne doręczanie prosimy upominać się w gminie. Na bieżący kwartał brak tylko 40 groszy. — **Wojciech Bażak** z Szcz.: Książki tej nie mamy. Niech się Pan zwróci do p. Rydza w Bochni.

Unieważniam zgubioną książeczkę wojskową na nazwisko Czesław Mróz ur. w roku 1903 w Kopalinach pow. Bochnia, a zamieszkały w Burdyłowie powiat Brzeżany wydaną przez P. K. U. w Brzeżanach.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Franciszek Macioł z S. B.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Choroba.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Płynie wodą, wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Papier wartościowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie żydowskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Lubelskiem.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pieniądze zagran. wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rodzaj paszy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Inaczej ogłoszenie, wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wrażenie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Posiadają róże.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto na Wołyniu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Gatunek dyni, wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miejsce klimatyczne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto zagraniczne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak domowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę leśne, wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Drzewo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto polskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.

Litery początkowe czytane z góry dadzą imię i nazwisko poety polskiego.

2. Szarady.

(Ułożył J Arczyński).

I.

Gdy pierwsze liczbę wysoką tłumaczy,
To pierwsze z drugiem za to nic nie znaczy,
Drugie trzecie strawę gosposia. bo musi
Dla robiącej w polu córeczki Jagusi,
Drugie czwarte nie nasze życzenie,
Piąte może być li tylko przeczenie,
A całość zaś to związek znaczy,
Powiedzieć jednak musi się inaczej.

II.

Gdy pierwszej drugiej unikać pragniemy,
To pierwszą trzecią dość chętnie pijemy
Czwarta i trzecia w kościele być musi
Tylko myśleć nad tem troszkę się pokusisz.
Całość gdzie? domysł nam każe
Szukać na piaskach w pustyni Saharze.

III.

Pierwszy drugi rękodzielnik znany,
Dobrze pracujący, bywa wychwalany.
Drugi trzeci zaś taniec ulubiony,
Nie modny co prawda, lecz zawsze tańczony.
Całość trzeba zgadywać powoli,
Gdyż nazwisko to znane nam jest z „Roli".

IV.

Pierwsza w orkiestrze bywa używana
Trzecią wstecz czytawszy będzie miara znana.
Druga trzecia to imię pani Pipstokowej,
Wstecz druga kierowy albo też pikowy.
Całość, gdy tylko powoli zgadniecie,
Będzie nazwisko znane wam już przecie.

3. Zagadka.

(Ułożył Leon Kmita z I.).

I.

Wprost miasto w Europie,
Wspak twem sercem włada chłopie.

II.

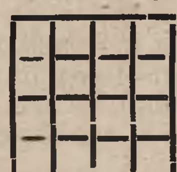
Wprost pełno ich, jak to wiecie,
Wspak u zwierza go znajdziecie.

III.

Wprost to krok duży,
Wspak zaś do palenia służy.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).



Zwierzę.
Kończyna.
Pensja.
Góry.

Termin nadsyłania zagadek upływa z dniem 2 marca.

Znaczenie zagadek z Nru 6 „Roli": 1. Logogryf: Powstanie styczniowe 2 Szarady: I. Uroczystość. II. Narzekanie. III Podole. IV. Ameryka. V. Palisada. 3. Kwadrat magiczny: Adam, dama, amor.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Zbigniew Pelc z Ł., Władysław Ogorzałek z C., Franciszek Raszyk z Ł., Wł. Sowiźrał z J., Zygfryd Setkowicz z T., Józef Rodak z T., Andrzej Parys z G., Franciszek Krupa z B., Adolf Liebeskind z K., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Tomasz Tiszler z S. S., Stanisław Marchewczyk z N. O., Mieczysław Rymek z K., Józef Bury z I., M. Bramboszcz z K., Irka Kaczorówna, Wł. Szwabowicz z K. Jan Żmuda z F., Zbigniew Pelc z Ł., Leon Ludwa z T., Ks. Suchodolski z T, T. Rajca z T, Jan Smara z Z., Józef Kubik z K., Piotr Wenc z S, Jan Gara z W., Jan Sowiński z K.

Nagrody wylosowali pp.: Władysław Ogorzałek z C. i Zygfryd Setkowicz z T.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Na jarmarku.

— Małgoś, widzi mi się, żeś kiepską kiełbasę kupiła. Trochę ją czuć...

— Nie wydziwiałbyś popróżnicy. Toć kupiłam ją do jedzenia, a nie do wąchania.



Także głowa domu.

— Panie profesorze, jestem w położeniu bardzo przykrem. Mam żonę silną jak słoń, z gębą niczem pytel w młynie.

Ona rządzi, co chce to robi, na moje słowa ani uwagi nie zwraca, a gdy się sprzeciwiam, w tej chwili rądlem lub talerzem bije w łeb. Proszę mi poradzić, czy jest jaka możliwość, abym żonie mógł kategorycznie objawić swoją wolę bez obawy rozbicia mi głowy?

— I owszem. Niech pan wlezie pod łóżko, a stamtąd niech pan oświadczy bez obawy, że pan jesteś głową domu.



Rady doświadczonego ojca.

— Proszę cię bardzo nie okazuj swemu narzeczonemu zbyt wielkiej miłości.

— Dlaczego, ojczulku?

— Zażądałby zbyt wielkiego posagu, widząc, że nie możesz żyć bez niego! Miej się ku niemu ot tak na piętnaście, najwyżej na dwadzieścia tysięcy złotych

Giełda płodów rolniczych

z dnia 8 lutego b r

Pszenica .	45·50—46·00	Słoma długa	11·00—13·00
Żyto .	35·50—36·00	Ziemniaki stoł.	7·50— 8·00
Owies . .	35·00—36·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	31·00—32·00	Mąka żytnia	49·50—50·00
Fasola biała	00·00 00·00	Mąka pszen.	71·00—72·00
Groch zwyk.	58·00 - 62·00	Otręby pszen.	26·50—27·00
Siano słodk.	25·00 - 26·00	Otręby żytnie	26·00—26·50
Łubin żóły	29·50—30·50	Mąka czerw.	31·00—32·00
Koniczpastew.	35·00—36·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 15 lutego b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·36 do 1·75 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·65 zł.
Woły . .	od 1·40 do 1·75 zł.	Cielęta .	od 1·38 do 2·14 zł.
Krowy .	od 0·74 do 1·65 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·25 do 2·40 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·50 do 3.00

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja“: Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Numera zaległe można nabywać w Administracji „Roli“ za nadesłaniem 30 gr. za numer. Można też nadsyłać znaczkami poczt. w liście.